



Wowe

Egzemplarz obowiązkowy

W 85 rocznicę urodzin  
W. I. Lenina



WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Z poematu

Włodzimierz Iljicz Lenin

ROK 1905

Iljicz już tutaj.  
Przeżywa z dnia na dzień  
z robociarzami dziewięćset piątą.  
Obok nich stoi na barykadzie,  
prowadzi powstanie na wszystkich frontach.  
Lecz rychło przyszył na przynętę wieści —  
„wolność“, Kokardek naczepiano modnie,  
car na balkonie ogłaszał manifestek.  
A po „swobodnym“ miodowym tygodniu  
mewy, kokardy i pienia plynne  
armatni ryk zagłusza basem:  
przez morze krwi robotniczej popłynął  
admiral cara, siepacz Dubasow.  
W pysk by splunąć tej białej holocie  
biadolejącej o bestialstwach Czeki!  
Patrzcie, jak tu, związawszy za łokcie,  
robotników do śmierci siekli.  
Na ryk reakcji inteligenciki  
rzucili wszystko, zmieszały z błotem.  
Nuże okadzać doimowe kąciki.  
Boga szukają. Mają robotę.  
Zakwilił sam towarzysz Plechanow:  
— Wasza wina! Sknociliście, bracia!  
Oj, krwi pociekło, ludzie kochane!  
Szkoda na darmo do broni brać się.  
Lenin głosem donośnym i śmiałym  
rychło ten skowyt żaloszny rozciął:  
— Nie, chwycić za broń należało,  
ale z większą energią i stanowczością.  
Widzę nowych powstańców lata i rosnącej klasy marsz.  
Dzisiaj nie obrona — atak  
musi stać się hasłem mas.

Przełożył JERZY LITWINIUK

W numerze: Czernik, Hrabec, Haszcza, Pasternak, Rymkiewicz

# Kronika

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 1 Rok I

ŁÓDŹ, 1-15 MAJA 1955

Cena zł 1.20

## MAJ

**B**YŁA to czternasta z kolei próba demonstracji podjęta tego dnia w Łodzi.

Tłum siedzi. Zrazu w cisy, niepewnie, potem — z głuchym pomrukiem wielu rozmów, w gwarze licznych głosów. Wreszcie wzbil się w powietrze okrzyk, potem drugi — zagrzmiął mocny odzew kilkuset głosów; na koniec wawóz ulicy wypełnił się pieśnią śpiewaną bezładnie ale mocno, coraz mocniej, tak że głośniejsza jej fala spłoszyła gołębie siedzące na pobliskich dachach. Nad ulicą pustą i ludną jednocześnie krążyło stado migocące w słońcu.

Tak doszli do Średniej i skręcili w prawo. Szli porywając za sobą grupki ciekawych i niezdeterminowanych, piosząc swym widokiem lekliwych. Pieśń kolebała się rozlewnie, rwana co chwila okrzykami — to cichła, to potężniała — aż w pewnej chwili wygasła w głuchym pomruku, jak gdyby śpiewającym zabrakło tchu w piersiach. Idący na czele spoważnieli nagle i nieco zwolnili kroku: z Widzewskiej wkroczył na środek ulicy koń niosący na grzbiecie tęgiego policjanta. Za nim dreptały zło, szarpające głowami koniki kozackiego patrolu; głośno klaskały po kamieniach podkowy koni kroczących na spotkanie milczącego tłumu. Ludzie uważnie przyglądali się jeźdźcom, ale szli naprzód zwolniwszy nieco kroku i ściśnięwszy szeregi. Szandar leko furkotał nad masą głów wtłoczonych w ramiona.

Policjant zatrzymał konia i uniósłszy dłoń w górę wykrzyknął huczącym basem wezwanie do rozejścia się. Tłum stanął. Kozacy ujęli mocniej nahajki w garść, a ostrogami lekko drażnili swe konie, drepocząc w miejscu. Klekot podków o kamienie niósł się przez chwilę po ulicy, potem policjant raz jeszcze wyhuczał swój rozkaz. Wówczas przez szereg splecionych ramion mężczyzn przecisnął się błady żołnierz w piechocińskim szynelu i ruszył ku policjantowi. Szedł wyciągnawszy przed siebie szeroko rozwarte ramiona i zatrzymał się o parę kroków przed jeźdźcami.

Był bardzo podniecony — krzyczał i gestykułował gorąco. Zwracał się do kozaków wołając, że on, żołnierz 26-go pułku strzelców Wschodnio-Syberyjskich, otrzymał niedawno urlop, że przybył do rodzinnego miasta, aby wypocząć, odzyskać siły. Krzyczał, że był dwukrotnie ranny, że wraca z wojny, którą widział z bliska, że wie, co ona niesie. Z trudem opanowując kaszel wołał do kozaków, by odmówili posłuszeństwa pchającemu ich na rzeź carowi, by przyłączyli się do ludu, który walczy o wolność i pokój dla wszystkich.

Gdy zamilkły tony pieśni, gołębie uspokojnie ciszą opadły na dachy gaworząc leniwie, odpoczywając po długim locie. Nagle poderwały się znów z nerwowym furkotem — na ulicy gruchnęło coś krótko i głucho. Nastąpiła chwila przejmującej cisy, a potem

ogromny krzyk setek głosów szarpnął powietrzem, zastukały dalsze strzały, podniósł się tumult i zgiełk gniewnych okrzyków i trwożnych zawołań. Wreszcie rozsypało się wszystko w tupocie tysięcy nóg i tętentie kopyt. Długo krążyły wystraszone gołębie nad opustoszałą już ulicą, po której turkotały koła szpitalnej karetki.

Wieczorem w wielu mieszkaniach tej dzielnicy gorąco rozprawiano o Sternie, łódzkim robotniku i żołnierzu. Starzy i młodzi, przedzalnicy i tragarze, kiwali głowami wspominając tego, który wyobraził sobie, że zwykły człowiek może wystąpić przeciw wojnie. Dziwne im się to wydawało i nawet niemądre.

Nic dziwnego, było to przecież dawno. Stern zginął dnia 10 maja 1905 roku. Szybujące w słońcu gołębie były wówczas tylko zwykłymi ptakami — niczym więcej.

\* \* \*

**W**PIĘCDZIESIĄT lat później, w samolocie zmierzającym z Hong-Kongu do Bandungu siedział sześciu dziennikarzy.

O Sternie słyszeć mógł tylko jeden z nich, ale wszyscy wsiedli do samolotu po to, by wziąć udział w spotkaniu przedstawicieli wielu narodów i różnych krajów, ożywionych wolą walki o niezawisłość i pokój. Mieli pokazać milionom swoich czytelników, jak ludy Azji i Afryki walczą o pokój wbrew matactwom organizatorów wojny. Byli bowiem oczami i uszami rzesz pragnących żyć szczęśliwie i bez lęku.

Wygodne fotele, świadomość długiej jeszcze podróży, wrażenie pozornej nie ruchomości samolotu płynącego nad spokojnym morzem — wszystko to sprawiało, że towarzysze podróży rozmawiali niewiele. Jeden z nich półgłosem opowiadał sąsiadowi o karłowatych sosnach rosnących w doniczkach jego mieszkania, drugi przymknawszy oczy wpatrywał się w dobrze zapamiętany uśmiech córeczki, która została w dalekim domu, trzeci nie mógł oderwać wzroku od płaszczyzny morza tak niepodobnej do sfaldowanej góry i pociętej dolinami powierzchni jego kraju. Wszyscy myśleli o tych sprawach, które człowiekowi są najdroższe.

Cisza panowała w samolocie i tylko od czasu do czasu podróżni porozumiewali się z sobą uśmiechami, które wyrażały ich myśli bez trudu posługiwania się obcym językiem. W pewnej chwili do kabiny wtargnął kłęb dymu i jednocześnie samolot zakotłował się niespokojnie.

Nazajutrz w wielu mieszkaniach na całym świecie mówiono o Jeremim Starecu, Fritzu Jensenie, Szen-Czin-Tu, Hwang Tao-Mei, Tu Hung, Li Pang i Ho Peng-Ke — polskim, austriackim i chińskich dziennikarzach. Brodaci kołchoźnicy z Powoźża, Włoszki wracające ze sklepów, przedzalnicy indyjscy i tragarze z Buenos Aires z gniewem myśleli o tych, którzy sądzą, że można odstraszyć zwykłych ludzi od walki przeciwko wojnie. Głupie im się to wydawało; głupie, nikczemne i niebezpieczne.

Nic dziwnego, było to przecież dwa tygodnie temu. Jeremi Starec i jego towarzysze zginęli 11 kwietnia 1955. W tym czasie gołąb był już symbolem skupiającym miliony ludzi walczących o pokój.

EDWARD SZUSTER

### OD REDAKCJI

Oddajemy w wasze ręce, Czytelnicy, pierwszy numer dwutygodnika pn. „Kronika“. Pięć numerów „Łodzi Literackiej“, wydanych w nieregularnych odstępach czasu, przekonało nas, że możemy liczyć na zainteresowanie, zrozumienie i pomoc społeczeństwa.

Będziemy się starali skupić wokół „Kroniki“ twórców i działaczy kultury: pisarzy i naukowców, artystów i muzyków, aktorów i filmowców, nauczycieli, pracowników świetlic i bibliotek w mieście i na wsi oraz tych wszystkich, którym troska o rozwój kultury leży na sercu, by z ich pomocą dać pełny obraz przemian i życia naszego kraju.

Pragniemy ukazywać na łamach „Kroniki“ bogatą treść różnorodności Łodzi i województwa, ich coraz bardziej wszechstronny rozwój społeczny i kulturalny, wydobywać z przeszłości tradycje walk rewolucyjnych o nowy kształt życia i kultury.

Akcentując związek z terenem, w którym żyjemy i pracujemy, nie zamierzamy się do niego ograniczyć. „Kronika“ może i powinna stać się pismem środkowo-zachodniej części kraju. Bliskie będą naszemu piśmu problemy, którymi żyje cały naród, cała Polska.

Zdajemy sobie sprawę, że zadania nasze są rozległe i trudne, tym bardziej że „Kronika“ bynajmniej nie zamierza poprzestać na biernej rejestracji idei i faktów, zagadnień i wydarzeń. Przeciwnie, naczelnym obowiązkiem „Kroniki“ upatruje w czynnym współtworzeniu kultury socjalistycznej, w pobudzaniu i kształtowaniu procesów społeczno-kulturalnych. Cele te przyświecają niewątpliwie wszystkim pracownikom frontu kultury w Polsce Ludowej. Chcemy jednak, aby drogę do nich wytyczyły nam potrzeby i aspiracje ludzi naszego terenu.

Na tej drodze nie ujdziemy daleko, jeśli nie dotrzemy do kroku, Czytelnicy. Na Waszej bowiem pomocy — współtwórców, doradców, informatorów i krytyków — opiera swą przyszłość

KRONIKA

STEFAN HRABEC

# HUMANISTYKA ŁÓDZKA A ROK MICKIEWICZA

**Z** WIELKIM zadowoleniem wypada wskazać na fakt, iż społeczeństwo łódzkie coraz wyraźniej zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że Łódź jest nie tylko ośrodkiem przemysłu, ale staje się też ośrodkiem nauki promierającej głównie z wyższych uczelni naszego miasta. Przebiega to wyraźnie z łamów łódzkiej prasy, tak żywo odzwierciedlającej tętno życia codziennego i kulturalnego Łodzi; ukazują się tu artykuły łódzkich pracowników naukowych, żeby wymienić choćby szczególnie zapoczątkowaną rubrykę p.t. „Z prac łódzkiego środowiska naukowego” w „Łódzkim Expressie”. Jest przy tym rzeczą niewątpliwie słuszną, że dominującą rolę w życiu szkół wyższych Łodzi grać będą uczelnie związane z rozwojem życia gospodarczego kraju i miasta, związane z podniesieniem stanu zdrowotnego łódzkiego robotnika. Stąd w centrum zainteresowania zarówno władz centralnych, jak i kierowników życia państwowego w naszym mieście, pozostają i muszą pozostać takie uczelnie, jak Politechnika Łódzka i Akademia Medyczna. Dla każdego rozsądnie myślącego taka hierarchia ważności nie ulega wątpliwości; dyktują ją zarówno długie, odziedziczone po dawnych ustrojach, zaniedbania, uzasadnia w pełni nasza sytuacja gospodarcza w układzie wewnątrzpaństwowym, a nawet układ stosunków międzynarodowych.

## Łódź — ośrodkiem nauk społecznych

Ale Łódź nie może się ograniczyć wyłącznie do uprawiania nauk technicznych i przyrodniczych. Nauki te, pozbawione swych nieodłącznych towarzyszek, nauk społecznych, nie dają pełnego obrazu osiągnięć umysłu ludzkiego. Musimy zatem baczną uwagę poświęcić w łódzkim ośrodku naukowym również naukom społecznym. Podstawowe nauki społeczne, materializm dialektyczny i historyczny, zajmują w naszym państwie ludowym, jak też w naszym robotniczym mieście, należne im miejsce i ta jasna sprawa nie wymaga szerszego omówienia. Ale już nie tak wyraźne miejsce i pozycja przypada w Łodzi innym naukom społecznym, głównie filologii, a w pewnym stopniu także historii. Rodzi się — oby niesłuszna — obawa, że są one postawione w naszym ośrodku nie bezpośrednio na drugim planie po naukach technicznych i przyrodniczych, co byłoby rzeczą naturalną i do przyjęcia, ale na planie zupełnie dalekim. A nasze miasto ma wszelkie dane po temu, by stać się ośrodkiem naukowym w pełnym, zaochrąglonym tego słowa znaczeniu, tzn. może i powinno na równi pielegnować nauki ścisłe, przyrodnicze i techniczne, ale nie wolno przy tym zapominać o konieczności stworzenia odpowiednich warunków materialnych, jak też przychylnej atmosfery dla uprawiania nauk społecznych.

Naukami społecznymi interesują się nie tylko specjaliści w tej dziedzinie. Wiemy dobrze, z jaką pasją inżynierowie i lekarze zajmują się często sprawami humanistycznymi; znane też są powszechnie szerokie zainteresowania humanistów dla spraw techniki i przyrody. Dwie te dziedziny stanowią bowiem jedną nierozłączną całość, której na imię: nauka.

Wśród zadań kulturalnych naszego miasta winno się znaleźć i zadanie wychowania pracowników zawodowych i naukowych w dziedzinie humanistyki, pracowników związanych z klasą robotniczą, bo z niej pochodzących, pracujących w oparciu o ideologię klasy robotniczej, materializm dialektyczny i historyczny. Trudno znaleźć drugi ośrodek, który by miał tak odpowiednie po temu warunki, jak Łódź.

Polonistyka łódzka, zdając sobie w pełni sprawę ze spoczywających na niej obowiązków, przystąpiła do żywego organizowania prac związanych z obchodem Roku Mickiewiczowskiego.

## Założenia obchodu

Opierano się przy tym o „Założenia generalne” Egzekutywy Ogólnopolskiego Komitetu Roku Mickiewiczowskiego, które i tu godne są przytoczenia:

1. Rok Mickiewiczowski powinien ukazać na tle okresu walk narodowo-wyzwoleńczych w Polsce i ruchów wol-

nościowych w Europie wielki wkład Adama Mickiewicza w rozwój świadomości narodowej i ideologii postępu oraz twórczy wkład do literatury polskiej, który przez swe wartości głęboko humanistyczne i międzynarodalne wzbogacił dorobek kultury światowej.

2. Rok Mickiewiczowski winien być obchodzony pod hasłem upowszechnienia i pogłębienia w świadomości społeczeństwa wiedzy o okresie polskich walk narodowo-wyzwoleńczych, z ukazaniem wielkości i roli Mickiewicza, żarliwego patrioty i bojownika postępu, czołowego poety i rewolucjonisty epoki walk narodowo-wyzwoleńczych i dążeń rewolucyjnych całej Europy pierwszej połowy XIX wieku, twórcy nowoczesnej literatury polskiej i genialnego artysty narodowego, nierozdzielnie związanego z ludem pracującym.

3. Rok Mickiewiczowski powinien przyczynić się do dalszego szerzenia wśród postępowej ludzkości wiedzy o doniosłym znaczeniu polskich walk narodowo-wyzwoleńczych w dziejach Europy, ze szczególnym uwzględnieniem postaci Mickiewicza, poety, wielkiego patrioty i wielkiego internacjonalisty, który wniósł do kultury ogólnoludzkiej trwałe wartości artystyczne i którego dzieła służą dziś idei przyjaźni i braterstwa między narodami, idei walk o wolność narodową i społeczną.

4. Rok Mickiewiczowski winien wzmocnić badawcze prace nad okresem walk narodowo-wyzwoleńczych, chronologicznie pokrywającym się niemal z datami życia i działalności Mickiewicza, winien przyczynić się do likwidacji fałszywych legend i poglądów, ustalonych przez burżuazyjną historiografię, winien w oparciu o naukę marksistowską zaktywizować badania dla ukazania wybitnej roli Mickiewicza jako ideologa i działacza tej epoki i twórcy, którego sztuka poetycka była szczytowym osiągnięciem polskiego romantyzmu.

W Uniwersytecie Łódzkim, w oparciu o wskazania Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, powołany został uczelniany Komitet Organizacyjny Obchodu Roku Mickiewiczowskiego (prof. dr S. Karyn, przewodniczący, prof. dr S. Skwarczyńska, prof. dr S. Hrabec, doc. dr G. Miśkiewicz i prof. dr J. Dutkiewicz), który oprócz Katedry Historii Literatury Polskiej i Katedry Języka Polskiego, związanych z racji przedmiotu swych badań ze sprawami twórczości i języka A. Mickiewicza, zaprosił do współdziału w pracach zakłady uniwersyteckie: Historii Myśli Społecznej, Podstaw Marksizmu-Leninizmu, Historii Gospodarczo-Społecznej Polski, Historii Powszechnej i Nowożytnej i Historii Sztuki. Udział w przygotowaniu Roku weźmie też Biblioteka Uniwersytecka.

Komitet Organizacyjny ustalił już wstępny program obchodu Roku Mickiewiczowskiego w Uniwersytecie Łódzkim. Centralnymi punktami będą wydawnictwa przygotowane przez zespół łódzkich polonistów i historyków. Na plan pierwszy — jako przedsięwzięcie tylko łódzkie — wysuwa się tu wydanie XIII tomu „Prac Polonistycznych” (które od XII tomu poczynając, stały się wydawnictwem Uniwersytetu Łódzkiego) z centralnym działem „Mickiewicz i jego epoka”. Znajdą się w tym tomie prace poświęcone zagadnieniom historyczno-literackim i językowym wynikającym z twórczości naszego poety, a obok tego ukazać się w nim szereg prac (literackich, językowych, historycznych) poświęconych już to innym pisarzom epoki romantyzmu (np. Fredro), już to zagadnieniom historycznym z ową epoką związanym.

## Słownik Mickiewiczowski

Pracownia Łódzka (wspólnie z Pracownią toruńską) „Słownika Języka Mickiewiczowskiego” projektuje na koniec 1955 r. wydanie I tomu tego Słownika. Ponieważ sprawa potrzeby i celowości opracowania takiego Słownika nie jest dla niespecjalistów rzeczą oczywistą, pozwolę sobie pokrótce poinformować Czytelnika, co to będzie ów „Słownik Mickiewiczowski”. Będzie to wykaz wszystkich wyrazów występujących zarówno w tekstach poetyckich, jak też prozaicznych poety (listy itp.), zilustrowany za pomocą zacytowania wszystkich zdań (ewentualnie wyrazów), w których te wyrazy występują; jedynie przy wyrazach typu „i”, „a” itp. ograniczymy się do wyboru cytatów, podając przy tym lokalizację wszystkich tego typu wyrazów. Znaczenie wyrazów będzie w miarę potrzeby objaśniane. Zgromadzenie całego materiału dotyczącego poszczególnych wyrazów w jednym miejscu wskazuje na ich uwikłania stylistyczne, a niekiedy zmienią nasze sądy o znaczeniu wyrazów w języku Mickiewicza. Ten

drugi wypadek mamy np. przy wyrazie „bawić”. W pierwszym wierszu XVI sonetu miłosnego, brzmiałym:

„Dobranoc! już dziś więcej  
nie będziem bawili!”

wyraz „bawili” był interpretowany dotąd stale jako = „przebywali razem” (por. komentarz do Wydania Narodowego, str. 466). Tymczasem w V księdze „Pana Tadeusza” (wiersz 445—447) Wojski tak mówi:

„...Śmiałbym upraszać młodzieży,  
Ażebym po staremu bawić u wieczerzy,  
Nie milczeć i żuć;”

co wyraźnie wskazuje, że „bawić” oznacza też niekiedy u Mickiewicza „prowadzić towarzyską rozmowę”. To samo znaczy też w sonecie XVI i wtedy dopiero zrozumiałe stają się dalsze słowa tego sonetu:

„Dobranoc! z każdej ze mną  
przemówionej(!) chwili  
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy  
i uroczy.”

Przykładów można by przytoczyć o wiele więcej.

Słownik zaopatrzonej będzie w pełny wykaz odmiennych (fleksyjnych) form języka poety. Tak opracowane i ugrupowane zestawienie materiału rzuci nie tylko cenne światło na fleksję języka A. Mickiewicza, lecz także dostarczy materiałów do historii fleksji dziewiętnastowiecznej polszczyzny.

Osobno wydobydziej się w ramach hasła słownikowego frazeologię Mickiewiczowską (wyrażenia, zwroty, peryfrazy itp.); będzie to z jednej strony ilustracja utartej frazeologii języka poety, z drugiej rzuci światło na nowość i kunszt jego frazeologii poetyckiej, a przede wszystkim na związek jego języka z głębokimi pokładami języka ludowego i ogólnonarodowego.

Nadto każdy artykuł słownikowy będzie zawierał cyfry statystyczne odnoszące się do ilości wypadków występowania wyrazu w ogóle, ilości jego wariantów, ilości poszczególnych form gramatycznych, ilości występowania wyrazu w różnych jego znaczeniach i połączeniach frazeologicznych. Ten materiał cyfrowy pozwoli zorientować się w normach ogólnych języka Mickiewiczowskiego, wskaże na to, co w nim częste i powszechne, co rzadkie i nowe. Będzie też wreszcie wiedzieli, jak wielkim zasobem słownikowym w ogóle operował Mickiewicz.

Tyle o „Słowniku Mickiewiczowskim”.

## Wkład naszego miasta

Na jesień br. uczelniany Komitet Obchodu Roku Mickiewiczowskiego zaplanował urządzenie sesji naukowej pracowników naukowych, jak też sesji młodzieżowej z referatami poświęconymi Mickiewiczowi. W tym też czasie urządzi się wieczór poezji Mickiewiczowskiej z udziałem członków konkursu recytatorskiego, ogłoszonego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Biblioteka Uniwersytecka wspólnie z Zakładem Historii Sztuki projektuje urządzenie wystawy ikonografii Mickiewiczowskiej i „Mickiewiczianów” w bibliotekach łódzkich.

Zadeklarowali też pracownicy Uniwersytetu Łódzkiego swój szeroki udział w akcji odczytowej na tematy Mickiewiczowskie, organizowanej przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe i Towarzystwo Wiedzy Powszechnej.

Łódzcy uczeni zgłosili swój udział w ogólnopolskiej sesji naukowej przygotowywanej na listopad br. przez Polską Akademię Nauk. Wymienić tu należy silnie jeszcze z Łodzią związaną prof. dr N. Gąsiorowską, prof. dr J. Dutkiewicz (oboje historycy) oraz filologa piszącego te słowa.

Pragniemy w ten sposób zadokumentować nasz związek z kulturą proletariatu łódzkiego i polskiego, wnosząc do niej naszą pracę naukową i popularyzując szeroko jej wyniki.

STEFAN HRABEC



Rys. L. Tyrowicz

JAN HUSZCZA

## Mickiewicz

Nie wtedy, gdy fragmenty  
wkuwa się na pamięć,  
lecz kiedy pachną miętą,  
kiedy oczy łzami

błyszczą pierwszej miłości  
i szepce się imię  
w głębokiej samotności  
— on przychodzi w rymie.

Na świecie ileż jezior?!  
I bez jego słowa  
— kto tkwiłby nad Switezią,  
szukał Soplicowa?

Któż znałby Bieniakonie,  
ementarz ów... Maryle?  
Kto, załamawszy dłoń,  
chciałby stać tam chwilę?

To on prowadził lasem  
czujnego powstańca,  
wygrawszy zważę z czasem,  
zjawiał się na szaniecach.

On strofą swoją ponał  
prostą jak piosenki  
— i on broń wytrąconą  
wkladał znów do ręki...

Szedł z każdym na wygnanie  
w strony różne świata,  
powracał niespodzianie,  
by z ludami się bratać.

Z cokołów schodzi co dzień  
— nie jak granitowy,  
lecz jak zwykły przechodzień  
słucha polskiej mowy.

Czy upały czy mrozy,  
błaka się po sadach...  
Gdy jadą chłopskie wozy,  
on na wozach siada!

A drogi przez kraj cały  
biegną niestrudzenie.  
Wołają jak wołały  
drzewa i strumienie.

## W następnym numerze:

Reportaż Wandy Karczewskiej

Kolumna Młodych

Opowiadanie Zofii Lorentz

Recenzje o „Mazepie”, „Zbójcach”  
i „Weselu Figara”

Reprodukcje prac łódzkich artystów

Wypowiedzi o książce i czytelnictwie

Władysław  
Rymkiewicz

# DZIEWCZĘTA Z DMR

**W**IELKI, niedawno wzniesiony gmach, w którym się mieści Dom Młodego Robotnika na Bałutach, już z daleka zaciekawia swym ogromem i nowoczesnym kształtem architektonicznym.

Pod wrażeniem imponującej budowli nie przywiązuje się specjalnej uwagi do waleśających się w pobliżu Domu mężczyzn w kapeluszach-naleśnikach i spodniach z wąskimi nogawkami, którzy paląc papierosy krążą wyczekując przed wejściem.

Przestrzeń mieszkalną, przeznaczoną dla 320 osób, zajmuje na razie 230 robotników, przeważnie pochodzenia chłopięcego, które po ukończeniu Szkoły Przeproszenia Zawodowego otrzymały nakaz pracy z jednoczesnym skierowaniem do DMR w Łodzi.

Zadania stojące przed ludźmi, ponoszącymi odpowiedzialność za stan rzeczy w DMR-ach, dadzą się streścić w paru zdaniach: DMR powinien zastąpić dom rodzinny; powinien być miejscem wypoczynku, nauki i rozwoju kulturalnego; powinien wyrabiać i utrwalać w młodych umysłach naukowy pogląd na świat.

## Wychowawcy

**R**EALIZACJĘ tych zadań powierzone kierownictwu Domu.

Instruktor polityczno-wychowawczy jest 21-letnia, inteligentna zetemówka; córka robotnika miejskiego, ma za sobą 7 oddziałów szkoły podstawowej, jeden rok szkoły przysposobienia zawodowego, nakaz pracy do fabryki wełny, rok pracy w tkalni; następnie młoda tkaczka zostaje wytypowana do Szkoły Organizacyjnej ZMP, przechodzi do pracy w „aparacie” ZMP i awansuje na instruktorkę DMR.

Spoza szkół w jasnej rogowej oprawie spoglądają z zakłopotaniem bystre ciemne oczy.

— Odczuwam brak wykształcenia w zakresie pedagogicznym — stwierdza instruktorka. — „Poemat pedagogiczny” i „Chorągwie na wieżach” dały mi dużo materiału do przemyślenia, ale to nie może zastąpić fachowej wiedzy. Praktyka i doświadczenie również nie zastąpią mi liceum pedagogicznego.

Szczerość tego wyznania jest miarą trudności, niepokoju i braku pewności siebie, nurtujących młodą dziewczynę, postawioną przed jednym z najtrudniejszych zadań społecznych, jakim jest wychowanie.

— Tym bardziej że nasze dziewczęta są trudne do prowadzenia. Poza swymi rodzicami nie chcą one unać obcego autoritetu. Może dlatego, że jest śmy za młode?

Do sekretariatu wchodzi szczupły mężczyzna, nauczyciel miejscowej filii 15 Szkoły Podstawowej dla pracujących. Filia mieści się w gmachu DMR i obejmuje na razie 5, 6 i 7 oddział.

Nauczyciel podchodzi do zainstalowanego w rogu pokoju radiodbiornika z mikrofonem i wzmacniaczem, włącza mikrofon i zapowiada nerwowo: — Uwaga! Uwaga! Helena F. proszona jest o zejście do klasy na lekcję.

Wychodzi.

— Duży kłopot z tym, że dziewczęta nie chcą się uczyć. Mają szkołę w tym samym gmachu, wystarczy, żeby zeszły o jedno lub dwa piętra niżej — mówi instruktorka. — Tłumaczy się, przekonują, błaga niemal: „Uczcie się! Wszystko, naukę, książki otrzymujecie przecież darmo!” Nie chcą!

— Jakże macie jeszcze kłopoty?

— Jak pan sądzi — zamiast odpowiedzi zaskakuje mnie młoda zetemówka pytaniem — czy dyscyplina powinna być środkiem wychowania czy wynikiem?

— Makarenko odstąpił od pierwotnego, zbyt kategorycznego przeciwstawienia dyscypliny jako wyniku wychowania — dyscyplinie jako jego środka — tłumaczy. — O ile pamiętam,

mówił, że dyscyplina nie jest środkiem wychowania, lecz jego wynikiem, a dopiero później staje się środkiem.

## Wytrych

**D**O sekretariatu wchodzi nauczycielka, starsza siwiejąca osoba, i zwraca się do instruktorki z niezwykłą stanowczością:

— Proszę o wytrych!

Instruktor, wyraźnie zmieszana, wyjmując z szuflady żądane narzędzie i wręcza w milczeniu nauczycielce, która szybko opuszcza pokój.

— Widzi pan, to jest tak... Najpoważniejszą trudnością polega na tym, że niektóre dziewczęta nie tylko nie chcą przychodzić na lekcję, ale w dodatku zamykają się na klucz i odmawiają otwarcia pokoju, udając że tam w ogóle nikogo nie ma.

Zapada kłopotliwe milczenie.

Nasuwa mi się w pierwszej chwili wątpliwość, czy otwieranie wytrychem pokoju, zajmowanego przez cztery dziewczyny, nie jest jakimś pogwałceniem ich wolności osobistej. Po krótkim namyśle jednak znajduję łatwe argumenty obalające tę wątpliwość: mieszkanki DMR powinny wszak podporządkować się obowiązującym w DMR przepisom, nie mają prawa uchylać się od zasad współżycia i traktować swego pobytu w Domu jak przejściowej gościnności w pokoju hotelowym. Ich sposób korzystania z pokoju podlega zresztą kontroli Kierownictwa, które zawsze ma prawo wkroczyć dla dokonania lustracji, czy pokój jest sprzątnięty, czysto utrzymany, itp. A wreszcie, co kieruje ręką nauczycielki posługującej się narzędziem o nieprzejmowej nazwie?... Czy nie powoduje ją poczucie obowiązku? Nie będzie chyba wytaczała argumentów stojąc na korytarzu przed drzwiami zamkniętymi na klucz?

Siwowłosa nauczycielka wróciła do sekretariatu, położyła wytrych na biurku.

— Nam potrzeba trzech moralnych kluczy do serc tych dziewcząt — oświadczyła zaczepnie. — Od strony podjęcia przez Kierownictwo DMR-u, od strony czujności Zakładów, w których dziewczęta pracują, i od strony opieki nauczycielskiej, to jest — naszej.

— Która to? — zapytuje Instruktor.

— Barbara K.

— Ta mała? I co?

— Obiecała, że zjeździe.

Po tych słowach stanowiąca nauczycielka udaje się na lekcję.

— U nas do 1953 roku było bardzo źle — zwierza się Instruktor. — Chuligaństwo, pijatki, bumelanctwo. Teraz się dużo zmieniło na lepsze. Mamy jeszcze około dziewięciu, dziesięciu dziewczyn, z którymi nie możemy sobie dać rady. Ale co do reszty, to też stoimy przed problemem, jak wprowadzić te dziewczyny z pokoju do świetlicy, na odczyt, do teatru?...

— One by tylko siedziały w pokojach i rozmawiały godzinami, bez końca, o kawalerach, wielkiej miłości, małżeństwie, o sukniach, tańcach, uczesaniu.

Wrócił nauczyciel.

— Proszę o wytrych — oświadczył zwięźle i nerwowo.

— Która? — spytała równie lakonicznie Instruktor.

— Helena F.

— Ta, którą wzywał pan przez radio?

Tym razem postanawiam przyrzec się, jak odbywa się włamanie.

Idziemy z nauczycielem na pierwsze piętro. Nad drzwiami pokoju wisi kartka z czterema nazwiskami lokatorek i z dopiskiem: Grzeczność.

Nie bardzo rozumiejąc, co ma znaczyć to słowo. Obawiam się jednak, że my za chwilę będziemy niegrzeczni i wejdziemy bez pukania.

Nauczyciel zaczyna kołać.

— Helu, proszę cię, otwórz! Chcę z tobą porozmawiać.

Cisza.

Nauczyciel rusza ramionami i otwiera drzwi wytrychem.

Zastajemy Helenę F. w łóżku; ma na sobie piżamę, wycina z kolorowej bibułki gwiazdki na choinkę. Na nocnym stoliku stoi butelka i szklanka z niedopitym winem oraz dwie książki.

— Kochana, rzuc to! Chodź na lekcję! Będziesz sobie wycinała te gwiazdki po lekcjach.

Nie będę tu powtarzał słusznej i namiętnej argumentacji nauczyciela, sprowadza się ona do znanej prawdy, że trzeba się uczyć.

Dziewczyna, znudzona, odkłada nożyczki.

Nauczyciel bierze z nocnego stolika zatuszowane książki i pokazuje mi tytuły: „Najpiękniejsza kobieta Paryża” i „Sęka Diabła” Courths-Mahler.

— To Janiny! — broni się Helena F.

— Niech Janina zgłosi się do sekretariatu — mówi nauczyciel chowając książki pod pachę. — A ty chodź na lekcję.

— Muszę się ubrać.

— Zaczekamy na korytarzu.

Wychodzimy z pokoju i czekamy. Mija pięć minut, mija dziesięć.

Po kwadransie nauczyciel stuka i zagląda do pokoju.

Helena F. w łóżku, w piżamie, wycina z nieznanym spokojem gwiazdki.

— Dopóki nie będzie ustawy o przymusowym nauczaniu w zakresie siedmiu oddziałów, obowiązującym ludzi powyżej lat 14, oraz związanych z ustawą sankcji, dopóty będziemy beznadzi — skarży się nauczyciel schodząc nerwowo do klasy na lekcję. — Samo przekonywanie nie zawsze wystarcza. Te dziewczyny mają tu luksusowe warunki. Za 335 złotych miesięcznie — wszystko, mieszkanie, utrzymanie, nauka. Nic więcej, tylko — pofatygować się na dół do klasy. I mimo to nie chcą się uczyć.

— A te książki — wskazują na egzemplarze pod pachą nauczyciela. — Skąd one się biorą?

— Krążą po fabrykach, kolportowane przez starsze robotnice i cieszą się szalonym powodzeniem. Parę tygodni temu skonfiskowałem postrzępione i żółte ze starości „Zagadnienia seksualne” i „Zagadki jej życia” Courths-Mahler z 1934 roku w wydaniu Cukrowskiego.

## Barbara K. również nie zeszła

**N**AZAJUTRZ wchodząc do sekretariatu trafiam na zakończenie jakiejś dramatycznej sceny, w której biorą udział Instruktor, Kierowniczka kuchni i młoda zapłakana dziewczyna o jasnych włosach. Jak się okazuje, ta ostatnia to właśnie Barbara K. Za karę (nie zeszła wczoraj na lekcję) została wyznaczona przez Instruktorę do skrobania kartofli.

Wnoszę z tego, że Instruktorka stosuje dyscyplinę nie jako wynik, lecz przede wszystkim jako środek wychowania.

Według Barbary K. skrobanie kartofli jest zajęciem hańbiącym.

Ponieważ przy wykonywaniu tej czynności wylewała łzy do saganu z kartoflami, Kierowniczka kuchni, kobieta o miękim sercu, zwolniła ją od tej pracy. Z tego powodu wynikł spór kompetencyjny między Kierowniczką kuchni a Instruktorą, która trochę pedantycznie zwraca Barbarze K. uwagę, że tylko ta osoba mogła ją zwolnić od skrobania kartofli, która poleciła jej tę pracę wykonać.

Barbara K. zalewa się łzami i solennie przyrzeka, że się poprawi i będzie chodziła na lekcję. Była tylko nie musiała skrobać kartofli.

Barbara K. ma 18 lat; pochodzenia chłopięcego; ukończyła 6 oddziałów szkoły podstawowej i 5-miesięczny kurs tkacki. Rozczesane przez środek głowy na boki gęste, krótkie jasne włosy, zwichrzane i rozsypane, nadają podobnej twarzy dramatyczny wyraz. Dziewczyna umyka wzrokiem w bok, nie patrzy prosto w twarz, spogląda spod brzo. Na pytania nie odpowiada.

— Dziewczyno! — załamuje melodramatycznie ręce Kierowniczka kuchni. — Ja przed wojną chciałam się uczyć, a nie mogłam, musiałam iść do pracy. Dzisiaj możebym była czymś więcej, gdybym posiadała nauki.

To wyznanie robi, zdaje się, wrażenie na Barbarze K., która wznosi oczy i spogląda z zastanowieniem i współczuciem na Kierowniczkę.

Po wyjściu Kierowniczki kuchni i wychowanki zostaje wezwana na moją prośbę Helena F., która wczoraj wycinała gwiazdki na choinkę.

— Uwaga! Uwaga! — mówi do mikrofonu urzędniczą pełniąca obowiązki sekretarki. — Helena F. proszona jest o zejście do sekretariatu po odbiór korespondencji.

— Dlaczego mówi pani nieprawdę?

— Bo inaczej by nie zeszła. Z nimi inaczej nie można.

Helena F., lat osiemnaście, ukończyła pięć oddziałów szkoły powszechnej i jednoroczny kurs przedzalnicy. Niska, krepka, wełniany sweter w czerwone, poprzeczne pasy, wesoła, odpowiada

grzecznie, lecz z namysłem, powściągliwie, jakby w obawie, że w pytaniach siedzi haczyk.

— Dlaczego nie chce się pani uczyć? — Koleżanka powiedziała: „Ja chodziłam i nic z tego nie mam”. To i ja przestałam. Zresztą, po co kobiecie nauka? Jak pójdzie za męża, to i tak będzie cały dzień stała przy garnkach.

— Ja wiem — wtrąca Instruktor — która to koleżanka nakładła ci to do głowy.

Helena F. zarabia jako prądatka około 900 złotych. Po zaplaceniu zł 335 za pokój i utrzymanie w Domu, resztę pieniędzy obraca na ubranie i łakocie.

W życiu swoim nie przeczytała jeszcze ani jednej powieści od początku do końca (dopiero Janina podsunęła jej „Sękę Diabła”) i ani razu nie była w teatrze.

— Raz na dwa tygodnie co najmniej chodzimy do teatru — wtrąca znów Instruktor — ale cóż, kiedy takie jak Helena trzeba „ciągnąć za uszy”.

Okazuje się, że koleżanka przekonała Helenę, że teatr też nic jej nie dał. Szukam argumentów, żeby namówić Helenę F. do pójścia do szkoły, czytania książek i chodzenia do teatru.

Helena F. na wszystko się zgadza, na wszystko kiwa głową i obiecuje z uśmiechem, że — dobrze, będzie chodziła do szkoły i do teatru. Lecz nie trudno się domyśleć, że Helena F. spoza miłego uśmiechu kpi sobie w najlepsze z moich słów, że mnie i z Instruktor.

— Ona jest taka, jak wiele innych jej koleżanek: obiecują grzecznie, uśmiechają się, lecz nigdy nie dotrzymują obietnicy — z goryczą stwierdza bezradna Instruktor po wyjściu Heleny F.

## Inne kłopoty

**M**OWILIŚCIE wczoraj, że macie około dziewięciu, dziesięciu dziewczyn, z którymi nie możecie sobie poradzić — przypominam.

— Tak. Uchwała samorządu DMR. powzięta na ogólnym zebraniu przed czterema miesiącami, dziesięć dziewczyn miało być usuniętych z Domu, ponieważ deprawują inne, mniej odporne koleżanki, wyrażają się wulgarnie, piją, uwodzą młodszych od siebie chłopców, niedoroszków (zaczyna się to od zaproszenia na tańce), zaś na ulicy przebywają w towarzystwie chuliganów, wywołując swym zachowaniem się zgorzniecie. Widział pan może tych mężczyzn wyciekających przed Domem? To przeważnie bałucki bikiniarze. Jedną z naszych lokatorek, która się z nimi zadaje, odciągnęła Helenę F. od szkoły, to jej zły wpływ.

— Dlaczego uchwała nie została wykonana?

— Większość tych dziewczyn, mimo złego prowadzenia się, jest dobrymi robotnicami, nieraz — przodownicami. Zakład, w którym pracują, broni ich.

— Względem natury produkcyjnej?

— Ale my jesteśmy już bezsilne. Przed decyzją o usunięciu te dziewczyny były wielokrotnie pogniewane przez kolektyw na zebraniach. I w dalszym ciągu zachowują się nonszalancko.

— A co gorsza, sieją demoralizację. Dlaczego więc nie wykonujecie uchwały samorządu?

— Rada zakładowa i opiekunowie naszego Domu nie zgadzają się. Mówią:



Rys. W. Kondek

„Otoczcie je opieką”. A gdy my powiadamy, że zrobiliśmy już wszystko i nie mamy sposobu na te dziewczyny, które są nieoprawne, to opiekunowie Domu doradzają nam: „czytajcie Makarenkę”.

Przypominam sobie zamieszczony niedawno w „Przeglądzie Kulturalnym” interesujący artykuł Anny Pawelczyńskiej, mówiący o gotowych, skonstruowanych na inny użytek schematach, których jak deski ratunku chwytają się czasem osoby odpowiedzialne za dany odcinek życia społecznego. „Otoczcie je opieką”, które słyszy się wszędzie, stało się właśnie takim schematem i frazesem, jak „front pracy” lub „młodzież przyszłością narodu”. I takim to frazesem zasłaniają się osoby odpowiedzialne za stan rzeczy w DMR, gdy chodzi o sprawę, w której na akcję profilaktyczną jest już za późno!

Co zaś do zalecenia: „Czytajcie Makarenkę”, to w pierwszym rzędzie powinny to czynić wspomniane wyżej osoby. „W swoim życiu wypędziłem z komunij im. Dzierżyńskiego w ciągu 8 lat chyba z 10 osób — pisze Makarenko w tomiku „Z mojej praktyki pedagogicznej” — wypędziłem bezli-

tośnie na cztery wiatry, niczego nie kłajstrując. Powiedziało się każdemu: „Wypędzamy cię na cztery wiatry dlatego, że jesteś nikczemny, obrażasz i krzywdzisz nas swoją egzystencją. Mówimy otwarcie, że nisko upadłeś jako człowiek”. Czy sądzicie, że nie drżałem ze strachu przez kilka nocy, wciąż myśląc, jak się to wszystko skończy? Drżałem, ale odczuwałem wewnętrzną potrzebę, aby właśnie tak postąpić, postępowanie moje znalazło oporę w moim sumieniu. I wyobraźcie sobie, że wszyscy ci wypędzeni, później, po 5, 6, 7 latach, zaczęli pisać do mnie listy”.

## Trochę optymizmu

**O**BRAZ byłby namalowany zbyt ciemnymi barwami, gdyby go nie rozjaśnił cyfra statystyczna. — Sześćdziesiąt dziewcząt chodziło do szkoły „w kratkę” — jak wyjaśnia Instruktor — a tylko wobec dziewczęciu, dziesięciu trzeba było używać wytrychu.

Należy jednak dodać, że DMR na Bałutach jest jednym z lepiej prowadzonych Domów. Jak wyglądają te sprawy w innych Domach?

Co robi Kierownictwo Domu, żeby zneutralizować wpływ tamtych dziesięciu straconych dziewczyn, które powinny być usunięte?

W niedzielę odbyło się zebranie 39 przadek i pomagaczek z udziałem dwóch kierowników przedalni ZPB im. 1-go Maja, w których pracuje ta grupa robotnic.

Spokojna, zrównoważona Kierowniczka Domu, którą wreszcie poznałem, uprzedziła mnie, że dziewczyny mają coś na sumieniu na pewno nie przyjdą.

Istotnie, okazało się, że na 39 robotnic przyszło 29. Wszystkie dziewczęta są porządnie, a nawet elegancko ubrane. Swetry z czystej wełny lub angory, nylonowe bluzy.

Celem zebrania było zastosowanie trzech kluczy moralnych, o których mówiła Nauczycielka. Dwaj kierownicy przedalni analizowali z Kierownictwem Domu styl pracy robotnic w fabryce, porównując go z ich stylem życia w Domu. Okazało się, że przestrzeganie czystości w pokoju DMR nie jest bez związku z utrzymywaniem w czystości maszyn i dobrą pracą przadek i pomagaczek. Niestety, notorycznych bumelanek na zebraniu nie było. Wychodzą na jaw ich różne sprawy. Kierowniczka Domu, która pracuje od wczesnego rana do popołudnia, informowała, że nieraz pytała niejedną:

— Czemu nie jesteś w fabryce?

— A bo ja pracuję po południu! — pada odpowiedź.

Gdy zaś urzędująca po południu Instruktorka zapytuje o to samo, pada odpowiedź: — A bo my pracowałyśmy na rannej zmianie.

Kolektyw 29 przadek postanawia zaopiekować się bumelanekami. Zgłaszają się „na ochotnika” kandydatki na ich przyszłe przyjaciółki, których trudnym zadaniem będzie przyjacielska perswazja i czuwanie nad postępowaniem podopiecznej.

Nieoczekiwanie wypływa sprawa teatru.

Grupowa, która otrzymała 11 biletów do rozprawienia, oświadcza, że nie sprzedała ani jednego. Bilety zaś były na „Zemstę Nietoperza”.

Wśród Kierownictwa Domu i przedalni — konsternacja. Wiadomo bo-

wiem, że o bilet na Operetkę Łódzką nie mniej trudno, niż do warszawskiego „Szpaka”. I cóż może być bardziej atrakcyjnego?

Okazuje się jednak, że olbrzymia większość dziewcząt nie orientuje się, co to takiego operetka. Te elegancko ubrane robotnice w wieku od 18 do 22 lat jeszcze ani razu w swym życiu nie były w teatrze.

— Ile jest takich? — woła zdumiony i zmartwiony kierownik przedalni. — Proszę, niech podniosą ręce.

Ręce podnoszą się wstydliwie, niewysoko ponad głowy i zaraz opadają. Trudno policzyć. Wreszcie, żadna już nie chce podnieść ręki.

Instruktorka wyciąga z tego pocieszające wnioski.

— One się wstydzą. To początek poprawy. To są bardzo ambitne dziewczyny — mówi do mnie półgłosem. — Szkoda, że nie ma tu Barbary K., tej, która nie chciała skrobać kartofli. Może by zmieniła swe zapatrywania na to, co jest zaskawiające?

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

## KIERUNEK

**T**RUP aspiranta Wilczka leżał w bag-  
nie, które rozciągało się po obu stro-  
nach wąskiej ścieżki. Właściwie i sa-  
ma ścieżka była bagnem. Po prostu  
był to twardszy, nieco wydeptany  
trop, najkrótsza podobno droga z wyspy na  
brzeg kanału. Czasami trop się urywał i trzeba  
było ostrożnie skakać z kępy na kępę, przy-  
ciągać bosakiem, sporządzonym z kolczastego  
drotu, przegniłe szczątki jakichś pników, ko-  
rzeni i bał, układać z tego chybotałowe kładki  
i ułatwiać sobie w ten sposób posuwanie się  
naprzód. Tak czy owak brodziło się w wodzie  
po kostki, często zapadając się w błoto po  
kolana.

Trup leżał na wznak, zielony mundur straży  
więziennej niczym prawie nie odbijał od  
koloru bagiennej roślinności i wszyscy zgodzili  
się z uwagą, że gdyby wypadek zdarzył się  
o kilka metrów dalej, to nikt nigdy nie dowie-  
działby się, jaki los pana aspirancika spotkał.  
Do zachodu słońca i śladu po nim nie będzie.  
Bagno wessie go — i tyle. Nie ma co, miejsce  
do zasadzki było nieźle wybrane.

Obok zwłok walała się czapka i porzucone na-  
rzedzie mordu — ciężki kawał żelaza, podobny  
do uchwyty pompy studiennej. Napastnik ude-  
rzył musiał ofiarę zniecałkować, bowiem aspirant  
nie zdążył nawet odpiąć futerału od pistoletu.  
Lewa część czaszki i twarzy była zmiażdżona  
i wkleśła, ruchliwy plaster robactwa oblepiał  
tę część głowy całkowicie.

— Ty, cacuś! Wstawaj na zbiórke! — Rozległ  
się wrzaskliwy śmiech.

— Ma teraz świńska morda za swoje!...  
— Kto go tak zrobił, ciekaw jestem?... — za-  
stanawiał się Kalinowski.

— Ja bym go, ścierwo jedne, przedtem jeszcze  
trochę pomęczył, jak nas męczył sobaka...

— Szkoda maszyny, przepadnie, trzeba ją  
zabrać...

— Żeby ją u ciebie zaraz zeksy nakrył, co?  
— Gdzie im tam teraz szukanie w głowie...  
wezmę...

— Mówię ci, zostaw!... Ja biorę...

— Stul się gnoj! jeden i schowaj komendę  
dla siebie! Teraz ten bierze, kto pierwszy... wol-  
ność jest!

— Kto jest gnoj... kto? — Kalinowski chwycił  
Brozka za pierś. — Kto?... Ty! — Zcepił się.  
Bójka była tuż, tuż.

— Ludzie, mało wam było... mało?! Oj, ludzie,  
ludzie... kary na was nie ma! Co za naród!...

— Ma rację!... — ozwało się kilka głosów. —  
Mało to nas tłukli? Jeszcze sami będziemy się  
gryźć!... Jak Kalina chce brać spluwę — niech  
bierze! Po co ci teraz maszyna, Brozek? Bę-  
dziesz wkrótce miał ich ile zechcesz... puść go  
Kalinowski! — Rozdzielili ich jakoś. Kalinowski  
brał pistolet.

— Tfy, on gnije już... — zauważył i splunął.  
— Chodźmy lepiej.

Poszli. W grupie tej było ich kilkunastu. Prze-  
ważnie więźniów pospolitych. Kilku złodziei,  
wśród których Kalinowski był jedynym zawo-  
dowcem — recydywistą, kilku drobniejszych  
malwersantów i grandziarzy, właściwie ofiar  
bezrobocia i nędzy, oraz trzech politycznych.  
Sanacyjne władze ministerstwa sprawiedliwości,  
którym jak dotychczas, mimo pięcioletniego już  
funkcjonowania tzw. nowego regulaminu, tylko  
w teorii udało się zrównać politycznych z kry-  
minalnymi, zaczęły w tym roku doczepiać do  
transportów na letnie obozy pracy po kilku po-  
litycznych na próbę. Miało to oczywiście ozna-  
czać, że niby wśród przestępców nie uznaje  
się żadnych różnic. Na jednym z takich obozów,  
w „Karnym Ruchomym Ośrodku Pracy nr 24”,  
założonym na wyspie wśród poleskich bagien,  
dotychczas właśnie przebywali. Ze względu na  
teren, skąd ucieczka mogła być łatwiejsza, wy-  
syłano tam tylko wyrokowców, którym do ukoń-  
czenia kary pozostawało jeszcze po kilka mie-  
sięcy. Żeby się już nie za bardzo opłacało na-  
wiewać.

\* \* \*

**D**ZIŚ, siódmego ranka po wybuchu woj-  
ny, po raz pierwszy nie odezwała się  
pobudka. Wprawdzie już od trzech  
dni nie wypuszczano nikogo z baraków  
i nie gnano do pracy, ale pobudka  
dotąd była. Porządkowi musieli przecież opróż-  
nić kubły, przynieść kawę, chleb — dziś nie.  
Starszy kławisz Gulda, który tej nocy pilnował  
ich baraku ze swoim wilczurem Kubusiem —  
nie zjawiał się.

Od świtania nikt już w baraku nie spał. Lu-  
dzie wiercili się na narach, przewracali się z bo-  
ku na bok, czochrali się, bili komary, pluskwy,  
złaziły do kubła, a kto tylko miał co zapalić wsu-  
wał głowę pod koc i kurzył. „Co też dzisiaj-  
szy dzień przyniesie?... Może dziś... może już  
dziś?...”

Niskie okna drewnianych baraków nie mia-  
ły szyb, tylko kraty i siatki. Bagieny, mgli-  
sty opar zalegający o świcie całą tę okolicę prze-  
nikał więc i tutaj, i wzmożony ciężką duchotą,  
parującą z odzieży blisko dwustu więźniów  
(tytu bowiem ludzi mieścił mniej więcej każdy  
z trzech skazanych baraków) zapelniał gę-  
sty półmrokiem całe pomieszczenie. Światło

jedyniej, słabej żarówki, zasilanej prądem obo-  
zowego agregatu, wisiało u sufitu drżącą, żółta-  
wą kulą.

Ani siatki w oknach, ani liche poprzecierane  
derki, ani nawet własne łachy, których już od  
połowy sierpnia, ze względu na nocne chłody,  
nie zdejmowano, nie były dla komarów żadną  
przeszkodą. Chmary ich cięły bez względu na  
porę dnia i nocy. Tylko nieprzytomny sen, po  
całodziennej mordęce podobny do letargu, za-  
pewniał komarom względną bezkarność. Nad  
dwoma rzędami, głowami stykających się nar,  
na których ciasno — ciało przy ciele — kulili  
się więźniowie, brzęczały nocą tumany insektów,  
podobne w tym świetle do kłębow wibrującego  
kurzu. Ponieważ nikt nie spał, bez przerwy  
rozlegało się teraz plaskanie i nieustanny recho-  
tliwy kaszel. Tylko w kącie, gdzie leżał poli-  
tyczny, Jacek Sawa, przykucnęło kilka postaci  
okrytych kocami. Rozmawiano przyciszonym  
głosem. Skrętka machory szła z ust do ust.

— ...był wprawdzie zły odbiór, ale najważniej-  
sze słyszałem — weszli do Łodzi, bijemy się już  
koło Siedlec i Mińska Mazowieckiego, a na pół-  
nocy sforsowali Narew i są pod Łomżą... tak,  
jest bardzo źle... naprawdę bardzo źle...

— A można im wierzyć, panie Sawa? Hitler  
może nas brać na bajer... Szwaby to umią...

— Martwić się będziemy, czy jak? Niech się  
oni, mać ich, teraz martwią, nie nasz interes...

— Dopytali się... — roześmiał się ktoś.

— Czego się cieszysz, głupi chamie...

— Jak im teraz prysnę, to drugi raz już mnie  
nie wezmą. Chcieli, to mają...

— Co mają? Kto ma? Ty będziesz wkrótce  
miał, fraterze. Niemiec, myślisz, będzie się z to-  
bą cackał?

— Nam nic nie będzie, albo my co winni?  
Jedno wiem... co przeciw mnie było, już się nie  
liczy, nie?

— A mnie naszych żal, dla narodu taka rzecz  
nieszczęście zawsze... głód będzie...

— Jak ręce masz, to zarobisz...

— Dla mnie tam bez różnicy, dla mnie oni  
wszystkie jednakie, pobijają się... dogadają się...

— Ciemna masa... co będziesz z nim rozma-  
wiał? On mnie i ciebie za miskę zupy sprzeda,  
jeszcze prosić się będzie... nie znasz go?... łachu-  
dra...

— Ty sam łachudra... Ty!...

— Spokojnie mi tu zaraz! — uciął Kalinow-  
ski. Sprzeczka uciecha natychmiast. Fizjognomie  
miał prawie kwadratową. Krótko ostrzyżoną  
czaszkę popstrzyły liszaje i piętna plackowatej  
łysiny. Czoło nad prawym okiem, widocznie od  
jakiegoś potężnego ciosu, było załamane, powsta-



Rys. T. Kokietek

ła w nim dziura wielkości pięści. Musiał kiedyś  
być siłaczem nie lada, jeszcze teraz sylwetka je-  
go, mimo lat więziennej poniewierki, stanowiła  
kanciastą, umięśnioną solidnie bryłę. W bara-  
ku swoim tylko na Sawę — pana Sawę — nie  
podniósłby nigdy głosu i ręki. Kosztował z po-  
litycznymi niejednego chleba, niejedną raz był  
świadkiem ich więziennej walki i szanował ich  
po swojemu, jak każdy poważniejszy zawodo-  
wiec.

— A o amnestii, panie Sawa, nie było nic? —  
pytał.

— Nie wiem — odpowiedział Sawa, podcią-  
gając się na narze. — Aspirant złapał potem  
Warszawę, ale mnie kazał wtedy wyprowadzić.  
Potrzebuje mnie przecież do tłumaczenia tylko  
niemieckich komunikatów, zrozumiałem jednak,  
że w Warszawie nawołują, żeby wszyscy męż-  
czyźni zdolni do noszenia broni opuścili stolicę...

— Co?! Stolicę już opuścić?! — Kalinowski  
zaklął i splunął w bok. — W taki czas?! Gdzie  
teraz nasz cały Rydz... — ja się pytam... złama-  
ny?! Do nas tylko mości byli...

— Żeby to marszałek Piłsudski żył! Może by  
nie doszło do tego... on by im w razie czego po-  
kazał... — zauważył ktoś z westchnieniem.

— Bujda z chrzanem! Za dziada i ty dziadem  
byłeś... zapomniałeś już?

Kalinowski, jakiś teraz szyderczy, sztachł się  
dymem aż do bebechów. Poślinił palce, zdusił  
niedopalek i rzekł:

— A ja wam coś powiem... Może my się stąd  
urwimy, może pociągniemy sobie raz i dwa

i użyjem jak należy, ale mówię wam, chłopcy,  
dalej nic dobrego dla nas. Komu jak komu, ale  
nam mortuśiakom będzie gorzej jak było. Win-  
ny ja, czy niewinny, ale za te, jaka by ona nie  
była, ojczyznę-matkę i nie taki kanał ryc mo-  
gę, jak nam tu przyszło. Ale od obcego baty  
brać?... — tu pomachał pięścią. — I to od kogo?  
Od Niemca? A gówno! Jak kto chce... ja nie. —  
I jeszcze raz splunął.

Zamilkli raptem. Wszyscy patrzyli teraz na  
Sawę, jakby właśnie do niego należała teraz od-  
powiedź. Twarze mieli przeważnie zapadnięte,  
wynędzniałe — dzikie, pokryte dwutygodniowym  
już zarostem, bo fryzjer w tę niedzielę już nie  
chodził. Harowali w tych błotach już od kwie-  
tnia, po dziesięć godzin dziennie, nie wliczając  
w to ośmiu kilometrów marszu do miejsca pra-  
cy i z powrotem. A w dodatku chyba połowa  
każdego grama tłuszczu, z tego i tak już jało-  
wego wikt, jawnie i bezwstydnie szła do ku-  
chni strażników.

Sawa siadł obejmując rękami kolana. Skrzy-  
wił się z bólu. Jak większość, miał od stania  
w bagnach opuchnięte nogi. Stopy, kostki, aż  
do łędźwi były obrzmiałe, opięte sinawą, błysz-  
czącą skórą, z której drobniutkich, wciąż ja-  
trzących się pęknięć sączyły się wodniste  
krwinki. Wszelki ruch szczególnie z rana był  
dotkliwie bolesny.

— To nie tylko Niemcy — odrzekł — to fa-  
szyści.

— A co to za tacy, panie Sawa? Jacy to ci  
faszyści?

Sawa tłumaczył im długo i cierpliwie. Twarz  
miał zniszczoną i wychudłą, pełną cierpienia,  
szczególniej w okolicach ust, miękkich choć  
wyrażście skrojonych, mimo wszystko jeszcze  
chłopięcych, szczególnie w przelotnie zjawia-  
jącym się na nich uśmiechu. Tylko właściwie  
uśmiech i oczy, jasne i odważne, pod czerwie-  
niałymi od niewyspania powiekami, świadczyły

wreszcie, czy nie? Hej tam!! Otwierać!!...  
Otwierać!!...

Minął kwadrans, może pół godziny. Baraki  
huczały podnieconym, zgłębliwym harmiderem.  
Niepewne, bojaźliwe domysły stawały się fak-  
tem. Mały, kępny Brozek huczał na okno i tar-  
gnął kraty ryknął: — Nawiali ich mać! Na-  
wiali!!... Nie ma ich!...

— Nawiali!!... Nie ma!...

Ucichło nagle. Nie dowierzano jeszcze. Lecz  
po chwili tumult wzmożił się ze zdwojoną siłą.  
Ale znów zaczęło cichnąć, bo oto stary, siwy  
Butryńczuk, chłop poleski, skazany na rok za  
opór władzy, rymnął pod ścianą na kolana i za-  
wodząc dyszkantem rozpoczął swe prawosławne  
modlitwy.

Nagle na środek nar wyskoczył Kalinowski.  
Wyrwaną skądś deską machnął młynka aż za-  
fukotało i gwizdnęło.

— Nie bójcie się chłopcy!... Wolność! Rwij  
kraty! Rwij!...

Tego tylko trzeba było. Chrupnęły wyłamane  
nary i po chwili aż drzazgi przyskały od łomu  
desek o żelazo. Kraty były mocne i nie puszcza-  
ły, tylko siatkę w kilku miejscach popruło.

— W drzwi!... W drzwi!... Bij!... — zakomen-  
derował Kalinowski

Runeł gromadą i wzięli się za drzwi — Hej,  
rób!! Raz! Dwa! — Barami i plecami, kopnia-  
kami, czym tylko kto mógł i dostawał. Gdzieś  
spod nar wyrwana tęga belka i nią jak taranem!  
— Raz! Dwa! — Pierwszy trzask! Drugi! —  
Razem! Ra-ze-m!

To nie były więzienne mury. Pękła z łosko-  
tem główna poprzeczka. Jeszcze trochę, jesz-  
cze raz, i tłum rozwrzeszczany zawziętą radością  
wysypał się na wolność! Ich barak był pierw-  
szy. Olbrzymie, zamglone jeszcze słońce wta-  
czało się właśnie na horyzont.

Pozostałe dwa baraki rozbito w trzy miga. Stu-  
pem wyrwanym ze środka placu, do którego to  
stupa, jak do pręgierza, nakazywał naczelnik  
Wilczek przywiązywać więźnia na karną „stój-  
kę”, trwającą od pobudki do apelu. Odwiza-  
ny wieczorem skazaniec był z reguły prawie nie-  
przytomny, złany krwią od ukąszeń komarów  
i pastwiących się nad nim gzów, wyczerpany  
od słońca, głodu i pragnienia.

I o karcerze nie zapomniano. Był to zwykły  
dół, wykopany na wysokość dwóch ludzi, przy-  
kryty niską, drewnianą nadbudówką, niby cza-  
pą, do którego zlaźło się po drabinie. Gąbczasty  
grunt wyspy ugiął się pod stopami, w zależno-  
ści więc od pogody woda w lochu sięgała zwykle  
do kolan i wyżej. Latem była, na szczęście, nie-  
zbyt zimna, ale cuchnęła bagieną zgnilizną  
i żarła niczym roztwór kwasu. Chociaż zamykano  
w karcerze tylko na noc i nie cięły tu muchy  
i komary, ale za to zaglądały tam często zuch-  
wałe szcury wodne, przed którymi należało się  
mieć na baczności. Zdarzało się, że bardziej  
wyróżniały strażnik nie wyciągał drabiny na  
zewnątrz, można było więc przycupnąć na szcze-  
blu, ale od czasu, kiedy jeden z więźniów po-  
darł koszulę na pasy i na jednym z tych szcze-  
bli powiesił się, trwało się w tym grząskim,  
smrodliwym szybie aż do świtu. Wprawdzie  
po owym wypadku samobójczym aspirant Wil-  
czek zaniechał na jakiś czas tej tortury, ale  
tylko wobec pospolitych, którym z politycznych  
skazywany był na nocleg w tym lokalu przy-  
najmniej raz w tygodniu.

Przy karcu był już Sawa i drugi polityczny,  
Szymon Dróżniak, robotnik z Włodawki, koń-  
czący tu, w letnim obozie pracy, swój wyrok  
za udział w komitecie strajkowym. Potężnej  
kłodce nie dali rady. Odbili ją więc ze sko-  
blem i po chwili wyciągali już z jamy trzeciego  
swego towarzysza, Trofima Sobkę, Białorusa,  
parobka pochodzącego z tych stron, gdzie spod  
Baranowicz. Płowowłósy Trofim, prawie chło-  
pak jeszcze, był do tego stopnia zaczadzony,  
że leciał przez ręce. Mrużył oczy od światła,  
kurczowo chwytając dech, ale uśmiechając się  
przez łyzy szeptając: — Swaboda... swaboda... Po-  
sadzili go pod ścianą baraku, do słońca, umyli  
nieco. Trzeźwiał.

Tymczasem tłum na placu szalał. Kalinowski  
i kilku jeszcze innych watażków objęło z miejsca  
komendę. Należało się śpieszyć. Obóz leżał  
wprawdzie na dalekim odludziu, ale kto wie,  
czy uciekająca administracja nie zechce kogoś  
zawiadomić. Chociaż, tak na zdrowy rozum  
wziąwszy, ani im to do głowy nie powinno  
wpaść. Sami mieli przecież masło na łybie!

Część więźniów zdążyła już się przelecieć po  
baraku administracyjnym, gdzie mieściła się

# WARSZAWA

wartownia, kancelaria i sypialnia straży. Po chwili wyglądało tam jak po przejściu tabunu rozszwieleczonego dzików. Poza pościelą, menażkami, jakimiś papierzyskami — nie tam nie znalaziono. Ani kropki wódki! Spakowały się te łobuzy ze wszystkim. Wskoczyli na motorówki z przyczepami — i hajda! Bractwo chciało z początku puścić barak z dymem, ale ktoś rozsądny ostrzegł:

— Frajery boskie! Chcecie sprowadzić sobie kogoś na łeb! — Dali więc spokój.

Inni w tym czasie rozbili magazyn żywnościowy i depozyt. W magazynie była tylko kasza i kawa zbożowa. Slonina? Chleb? Gdzie tam. — Ach, wy sukiny! — Ale o głodzie teraz nie myślano. Byłe prędzej zniknąć stąd!

Przy depozycie nie było najmniejszej draki ani też grandy. Warto było zobaczyć, w jakim porządku stali i odbierali swoje manele! A mówiono, że tylko pałka i krata może przemówić im do rozumu i nauczyć dyscypliny. Jeden wlaź na półkę aż pod sufit i stamtąd wywoływał numery. Każdy podchodził, chwycił worek i odlatywał na bok. Tam wdziewał na siebie co miał najlepszego, a z resztą szedł na handel i zamianę. Zmnięte to wszystko było, pokraczne jakieś, albo kuse, albo za długie, ale wolnościowe, swoje! Znalazło się kilka brzytw, mydło — i bazar, szumny, gwarny bazar rozbił swoje namioty na tym placu męki i poniżenia.

Z goleniem nie wyszło jednak. Jakieś, z początku ciche, pojękliwe buczenie doszło ich nagle z przejrzystej głębi nieba. Na razie nic nie było widać. Później wyłoniły się trzy punkciki.

— Ratujcie się, ludzie!... — wrzasnął ktoś w półochu.

— Spokój!... — zakomenderował Kalinowski. — Wszyscy padnij! Zalegli. Każdy na miejscu, gdzie stał. Część podczołgała się pod baraki. Obserwowali jednym okiem. Wysoko, wysoko nad nimi wisiady teraz trzy punkciki. Jeden z nich zamigotał w słońcu. Wibrujący ton silników wznosił się i opadał.

— Nasze!... Nasze?...  
— O, o... widzisz? Patrz, patrz!  
— Gdzie, gdzie? Co?  
— Krzyże mają na skrzydłach! Krzyże... czar-nel!...

— Krzyże!! To nie nasze!... Niemcy! To Niemcy!...

Punciki przeszły. Ale oto znów zahuczało w niebie. Było ich teraz dziewięć. Trzy trójki po trzy, w równiuteńskich odstępach. Pierwsza nieco wysunięta do przodu. Za nimi następne trójki. I znowu następne. Rozlegał się teraz równy, miarowy łomot, przechodzący chwilami w dudnienie. Głuche i posępne. Eskadra ciężkich bombowców szła z północy na Polskę. Naliczyli siedemdziesiąt pięć maszyn. Przeszły nie zwróciwszy uwagi na obóz. Ludzie podnieśli się. Przycichli. Radość i pierwsze uniesienie gdzieś się podziały. Czekaająca ich wolność nie wyglądała już tak całkiem obiecująco.

Ale Kalinowski stał oto w rozkroku na daszku karceru. Był jeszcze na bosaka, ale zdążył już przywdziać czarne spodnie i jasną kraciastą marynarkę. Na głowę wcisnął stłamszony, pilśniowy kapelusz. Wymachiwał pantoflem.

— Panowie! Czas kończyć ten bal! Pryskać zaraz na wszystkie strony! Żeby tylko nie razem!... Tylko nie kupą!...

Obok stali polityczni. Kalinowski zeskoczył i podszedł.

— Może tak ze mną, panie Sawa, co? Dobraliśmy się w kilku i poprowadzimy. Pójdą panowie z nami?

— Ja do domu — odparł Trofim Sobko — wieczorem już tam będę. Bądźcie mi zdrowi, panie Kalinowski.

Sawa spojrział na Droźniaka i skinął głową. Kalinowskiemu uściśnął mu rękę na zgodę. Potem poszli odprowadzić towarzysza. Żegnali się nad rzeczulką, która z jednej strony opływała wyspę.

— Poszli-by wy lepiej do mnie, do chałupy? Odpoczęli-by sobie z niedzielę? — zapraszał Trofim.

Teraz, bracie, to nie... — mówił Droźniak, pomagając przerzucać kładkę. — Ty, co innego... dom masz tutaj, swoich. My — podniósł się i pokazał ręką na zachód —... musimy... tam!

Trofim potrząsnął głową. — A wy tam po co? Panowie nawarzyli — panowie niech piją. Bronić ich? A bądź ty przekłeta pańska krzywdol!... — I zarzucił worek na plecy.

Ich — nie... — odparł Droźniak, patrząc gdzieś w bok. — Ziemi bronić. Ona temu niewinna.

— Ech!... — machnął ręką Trofim.

— Bywaj!... westchnął Sawa. Uściskali się w milczeniu.

\* \* \*

SZLI już od kilku godzin. Odpoczywali co pewien czas, właściwie tylko ze względu na Sawę, który włókł się na samym końcu, podtrzymywany na przemian przez Droźniaka i Kalinowskiego.

Sawa miał z całej gromady najbardziej opuchnięte nogi. Nie miał butów, ale i one nie przydałyby się, nie mógłby ich włożyć. Okręcił stopy szmatami, przewiązał sznurkiem i tak kuśtykał. Tych zaś, którzy na opieszłość w marszu próbowali sarkać, Kalinowski osadzał na miejscu. Dwóch urwało się jednak. Było ich teraz jedenastu.

Gdzieś na południe dobrnęli wreszcie do Kanalu Ogińskiego, do odcinka, dokąd pędzono ich ostatnio na roboty. Tama w górnym biegu kanału była chyba uszkodzona, bo czarna szlamista woda rwała teraz korytem, wylewając się aż po bizegi. Kabina pogłębiarki była już prawie zatopiona, sterzoła tylko kilkumetrowa jej wieżyczka z rozwartą zębata paszczą. Liczyli na to, że w tym miejscu przejdą suchą nogą na drugą stronę, stali więc zawiedzeni, kombinując jakim by tu sposobem przecieć się przeprawić. A jednak Sawa przydał się na coś! Wynikał gdzieś zwój żelaznej liny, zaczepiono ją jak lasso o zęby pogłębiarki, kilku chłopca pociągnęło mocno, ekskavator przewrócił się z pluskiem, i tym sposobem, balansując po zaimprovizowanym mostku, utaplawszy się nieco — jakoś przeleźli. Humory poprawiły się. Jakby nie było, wyrwali się przecieć ze strefy niewoli. Tu bowiem, na tym kanale, spędzili trzy czwarte swojej kategorii. Poganiani i łżeni od świtu do wieczora, szczuci psami, harujący w kłębach złośliwych komarów i much, tylko o misce zimnych pomyj zwanych — zupa. Półnady, bez względu na pogodę, w przegniłych parcianych portkach, w smrodliwym błocie po kolana, kroczyli ławą za bagrem i oczyszczali dno kanału z mułu i zgnilizny, naniesionej tu w ciągu dziesiątków

lat. Litry ich krwawego potu spływały teraz z wodami kanału do Prypeci.

Idąc w kierunku kłoniącego się ku zachodowi słońca, natrafili między bagnami na wioskę, a raczej na osadę, bo trudno było nazwać wsią tych kilkanaście rozrzuconych po suchych kępach domów, zbudowanych i zapadłych w ziemię prawie do okienek, byle jak pokrytych wiązkami zrzucających szuwarów. Bóg wie z czego ludzie tu żyli, gruntów uprawnych, pastwisk, większych rzek, nigdzie tu nie było. Chłopi jednak wiedzieli, już z kim mają do czynienia, okazało się bowiem później, że są już trzecią grupą, która tędy dziś przeszła. Tamci zabawili tu krótko, zginęło podobno kilka kur, drzwi otwierały się więc niechętnie. Chude, skołtunione kundle miały się na postronkach, strwożone baby zaganiały dzieciśka do chałup.

Droźniakowi i Sawie udało się jednak pozyskać nieco zaufania. Znali z więzień język białoruski. Dogadali się więc z jednym gospodarzem, a Kalinowski zaręczył Sawie za swoich. Poszły w ruch worki. Nawet ich łachy były tu w cenie. Znalazło się za to trochę gotowanych kartofli i mleka. Chleba nie było, albo też Poleszacy pochowali go gdzieś głębiej. Kartofle, choć bez soli, ale przynajmniej z kapką mleka, smakowały jak specjał.

Handel się już kończył — Sawa dostał za koszulę parę łapci, wyrabianych w tych okolicach z kawałków opon samochodowych — i mieli ruszać dalej, kiedy traf zrządził, że znalazł się samogon.

Wyszło zaledwie po pół szklanki na wygodzony i odwykły od alkoholu żołądek, ale ludziom już zaświeciły się oczy. Sawa truchlał, naprzyrzekał przecieć gospodarzom, a wiedział co wódka dla tej kompanii znaczy. Połowę rozmów w baraku stanowiły wspominki i marzenia o przyszłym ochłaju. Spozierał wciąż na Droźniaka, ale ten jakby się tym mało przejmował. Widocznie i jemu poszło do głowy. Sam zaś, chociaż połowę swojej doli odstąpił Kalinowskiemu, też stawał się jakiś ociężały i rozklejony.

A tu jeszcze z brozkowego worka wyjrzała kurtka i gacie i po krótkim targu zjawiła się jeszcze jedna butelka mętnego płynu, potem druga. Sawa nie panował już nad sytuacją, tym bardziej że odmawiać przypijającemu wciąż Kalinowskiemu i innym nie bardzo wypadało. Za oknem popiskiwały jakieś dziewczuchy. Dwie córki gospodarzy, kudłate i rozchełstane, złożyły z pieca. Chłopcom ręce zaczynały już same chodźć. Przypałał się, że wcale dziwnym spojrzeniem zerka na gospodynię, która, chociaż starsza, bardziej ogarnięta była od swoich córek. Najgorsze było to, że bractwo poczynalo się rozchodzić po chałupach. Zwrócił się więc do Kalinowskiego, ale ten odbelkotał mu coś zupełnie niezrozumiałego. Wtem rozległy się krzyki. Gdzieś obok wszczęto już bójkę. Sawa rzucił się do drzwi, ale ubiegł go Droźniak i awantura ścichła. Droźniak za-

wierzył się jednak i nie wracał. Sawa, oprzytomniały już zupełnie, wyszedł za próg. Chciał go poszukać. Ale niespodziewanie wzięła go taka senność, że aż się nogi pod nim ugłyły.

Obudził go daleki, tępy łomot. Było ciemno, nasłuchiwał myśląc, że to burza. Leżał na słomie chyba w oborze, bo obok postękiwała krowa, a dalej, gdzieś za przegródką czy za ścianą, zarżał koń. Zaszamotał się nagle i grzmotnął kopytem w deskę. Płoszył się widać. Łomot nie ustawał. Ziemia aż stękała teraz od ciągłych uderzeń, które zlewały się w głuchy pomruk, nadciągały łoskotliwym grzechotem i milkły w drzeniu. Skomlały psy.

Zwłókl się z posłania i wypadł za próg. Niska głębia nieba błyskała jeszcze gwiazdami, lecz na horyzoncie, o dziwo, już dniało. Zielonkawo-różowa poświata wschodzącego słońca migotała błyskami jakby magnezjowymi. Ależ ...nie! Tam jest przecieć zachód! Pojął już. To, co brał za świtanie, było zarzewiem olbrzymiej łuny.

Pod najbliższymi chatami widać było ludzkie sylwety. Niedaleko stał Droźniak z brodatym chłopem, okrytym baranicą.

— Musiś w Telechany bjut', szto? — pytał Droźniak.

— Jakije tam Telechany... — mruczał chłop — ...Telechany adsiul, try kilometr... ot tam! Heta dalioka, dalioka, ho... ho! — i szeptem dodał — Niemcy tam... municju wyniuchały... ja znaju. Tam wojska staic... municja w mahazynach... pouna...

Łuna wciąż rosła i rosła. Szkarłatny odbłask pożarów smagał niebo. Bomby były coraz rzadziej. Stali nieruchomo wpatrzni w tę krwawą jutrznię jak w zwłowieńczą wróżbę. Droźniak poszukał ręki Sawy i uściśnął ją bez słowa.

Nadbiegł Kalinowski.

— ...ze wszystkich tylko Brożek został... reszta zarazy — zaklął — urwała się!... Sawa z Droźniakiem nie zdziwili się nawet. Wiedzieli, że przy pierwszej okazji musi to nastąpić. Tamci posmakowali wolności, wstąpiła więc w nich odwaga i autorytet Kalinowskiego musiał pęknąć.

— A paszli, kab ich miaso wołki jeli! Ale szto prawda to prawda, ludzi nie pokrywdzili — mówił chłop zapalając pod kożuchem fajkę. — A wy tiapier kudy? Wy haworili, czto wy paliticzni. A nie machlujecie?

— Pa sztoż nam machlowat'? — odparł Sawa — Lepsz nam nie budie.

— Nu i tak... — zamyślił się chłop.

— Panie Sawa — odezwał się szepem Kalinowski — ja wiem, że wam mało po mnie, ale... weźcie mnie z sobą... — mówił cicho i pośpiesznie. — Ja mogę się przydać. Bić to ja się potrafię. Nie odmawiajcie. Tam przecieć Warszawa się broni. A czym ja gorzsy, żebym Warszawy mojej nie mógł bronić?...

Sawa zaśmiał się. — A kto wam, Kalinowski, mówił... że gorzsy. Nikt nie jest teraz gorzsy. Chcecie — to chodźcie z nami. No?... — i położył mu rękę na ramieniu.

— Tak!? — uradował się Kalinowski — Tak? To leć Brożka szukać, może i on pójdzie...

— Ja... tu... — ozwał się z ciemności Brożek. Podchodził bliżej. — Zabajerowałeś się Kalina. Jak chcesz, to sobie z nim idź. Ja —nie. Moja prawda pić i frajerów bić. — I zniknął.

Kalinowski milczał. Po chwili splunął w ciemność.

— Tak wy na Warszawę? — ozwał się chłop znieścacko po polsku. To może wy i polityczni... no, no... Tak ja wam coś powiem. Wam by lepiej nie na Telechany chodźć, tam panowie z palicju jeszcze... i waszych tam za dużo będzie. Nie radzę. — Wam by lepiej na szosę na Brest... na Brześć... dalej to, ale pewnie... jak chcecie...

— Nie dam rady tak daleko iść... nogi... — szepnął Sawa.

— Ja was pawiazu... — odparł chłop, niby obojętnie.

— Hroszy nie majem...

Brodacz machnął ręką. — Haj ono zharit'! Pawiazu... i podciągnął baranicę na barki. — Tak pajdu zakładywat' kania... i skreślił w stronę chaty.

— A ja gdzieś brzytwy pożyczę! — zawołał wesoło Kalinowski. — Niech już będzie z fasonem! Po warszawsku!

Pożar na horyzoncie dogasał. Wzbierający przypływ świtu zalewał waziutki już skrawek łuny. Bure dymy mgieł kłębiły się na bagnach. Stali na lekkim wzniesieniu, wyglądało jakby byli nad chmurami. Ciągnął chłód. Poszli do chałup po rzeczy.

— Sawa, jak myślisz, damy radę?

— Byle do Warszawy się dobrać. Tam już kogoś znajdziemy.

— Boję się, żeby nie było za późno. Żeby tylko nie było za późno...

Wzięli swoje worki, po chwili przybiegł Kalinowski i oskrobał ich jakoś przy studni. Sawa kończył właśnie przewiązywać stopy, gdy zza chałupy wyjechała furka zaprzężona w kudłatego konika z kablakiem. Poleszuk rozrucił na dnie furki snopek słomy, zaciągnął na kożuchu pas z mosiężną klamrą jeszcze z carskim dwugłowym orłem i trzasnął z bata. Wleźli, rozsiadli się z trudem, zapalili.

— Nu sztoż, pajechali, nie? Hejta, Marusia! Na Warszawu!

Kierunek — Warszawa!...

Nad bagnami wstawały mgły.

LEON PASTERNAK

STANISŁAW CZERNIK

## Stary pług

Nie ma już tego pługa. Pług umarł przed laty. Resztkę próchnicy z drewna, resztkę rdzy z żelaza Wiatr rozwiął, woda spiła. Chyba tylko skaza Drobnych wspomnień została — mały, niebogaty Żal po rdzawym lemieszu i lichej czepidze. I w tej kropelce żalu ów stary pług widzę.

Nie pokochałem pługa. Ale się zdarzało, Żem siedział obok niego. O trzon jego stary, Wytarty w glebie, ręce gładziłem. Do pary Wysłużonych już czepig przykładalem ciała I jakieś nadzwyczajne poezje oracze Szeptalem. Rosa spadła, myślałem — pług płacze.

Odcodziłem wzruszony: pługowi potrzeba Moich marzeń i pieśni, nie zawiodę pługa. A droga była trudna, zawodna i długa. Orałem samym sobą, ścierała mnie gleba. A dziś, już wysłużony, pragnę: niech się zdarzy, Niech znów przy starym pługu młody śpiewak marzy.

## Nad młodą wodą

Maleństwo, jeszcze ni struga, ni rzeczka, Kilkukropłowy włoszek wodny w glinie, A jak przedziera się, jak rącho płynie, Jak głaz omija mniejszy niż pięść dziecka!

Ale Wystarczył przecieć jeden krok Ptaka. Wystarczył mały podkop Kreta. Rozgnieciony został ptasim palcem Kropel bieg. Zapadło się w krecią jamkę Maleńkie nasionko rzek. A wielkość tego zniszczenia Ledwie podobna do pajęczyn cienia.

A jednak szkoda — Mierzę miarami człowieka — Taka młoda była ta woda, I nie wyrosła z niej rzeka.

ANTONI  
BOHDZIEWICZ

## PISARZ CZY REŻYSER?

**Z**DOLNY krytyk filmowy, K. T. Toeplitz, postawił kiedyś w jednym ze swych felietonów w „Nowej Kulturze” takie pytanie:

„Kto w końcu ma decydować o tym, co oglądamy na ekranie? Pisarz, który napisał scenariusz, czy reżyser, który robi film? Toeplitz dodaje: „problem nie jest biały!”.

Zgadza się, problem nie jest biały. Dla zwykłego widza — może tak, bo zwykły widz rzadko kiedy pamięta nazwiska scenarzysty i reżysera. Ale na pewno problem nie jest biały dla twórczych ekip filmowych, dla całej kinematografii. I pewnie dlatego — na łamach czasopism filmowych i literackich toczą się na ten temat gorące spory od lat.

Co to jest „film fabularny”? Jest to historyjka opowiedziana za pomocą obrazków, za pomocą ruchomych fotografii. Dialog może być w takiej historyjce i może nie być, przez dłuższy czas nie było go wcale, a mimo to historyjki bywały znakomite!

Kto potrafi opowiadać za pomocą filmowych obrazków? I jak należy nazywać takiego filmowego „opowiadacza”, gdzie go zaklasyfikować? Czy koniecznie należy go umieścić w szeregu nowelistów, powieściopisarzy, autorów dramatycznych, innymi słowy — w grupie literatów, ludzi pióra? Nie, niekoniecznie! Można przecież wyobrazić sobie, że jakiś jękość, nie umiejący czytać ani pisać, ale obdarzony wyobraźnią i wrażliwością plastyczną, znający życie i ludzi (no powiedzmy — jakiś taki „pielgrzym urzeczony” ze stron Leskova) — potrafi opowiedzieć widzom kinowym za pomocą kamery i taśmy masę rzeczy wstrząsających albo arcyśmiesznych, a zawsze interesujących. Wiele przeżył, wiele zaobserwował, zapamiętał — i teraz za pomocą narzędzi, jakie daje kino, zarejestruje to lub zainscenizuje dla ekranu.

Oto największa trudność: jak sprawdzić, czy filmowy opowiadacz nie jest filmowym grafomanem? Zdarzają się grafomani wśród literatów, mogą się zdarzyć i wśród filmowców. Ale przekonać się, czy filmowy opowiadacz jest filmowym grafomanem — można, niestety... tylko na ekranie, nie w scenariuszu i nawet nie w scenopisie! Bo te są ostateczne, mimo wszelkich zaszczepionych nazw, jakie im dajemy (literacki,

dzień to „coś” środkami sztuki filmowej).

Możemy chyba zgodzić się na to, że i w naszej skromnej skali trafiają się filmowcy, którzy są utalentowanymi opowiadaczami. Toeplitz w swoim felietonie sam to przyznaje i wymienia Forda, ja bym potrafił dodać jeszcze parę osób. Otóż tym filmowym opowiadaczom (mówię teraz teoretycznie, nie oglądając się na praktyki i obyczaje CUK-u) — literat, pisarz wcale nie jest do szczęścia potrzebny, albo niekoniecznie potrzebny. Owszem, łatwiej i korzystniej jest tworzyć filmowe opowiadanie we dwójkę, w trzy czy więcej osób, ani samotnie! Ale nie jest to reguła, ani regulamin! I tą drugą osobą, czy trzecią — też nie musi być pisarz. Musi nią być doory opowiadacz, to jedyny warunek. Zdarzało się, że w tej roli występował z powodzeniem obok filmowca — malarz, podróżnik, naukowiec itp...

Ale najczęściej jednak — w tej roli występuje pisarz, literat zawodowy. Otóż twierdząc, że w spółce: literat-opowiadacz — filmowiec-opowiadacz — autorskie prawa muszą być co najmniej równe, a może nawet powinny faworyzować filmowca, który przecież w ostatnim stadium roboty konkretyzuje wizję w ujęciach i sekwencjach filmowych.

Inaczej sprawa wygląda, kiedy filmowiec nie jest opowiadaczem, lecz tylko reżyserem tout court, który własnej narracyjnej inwencji nie ma, niczego „od siebie” opowiedzieć nie potrafi i tylko posłusznie realizuje rzeczy opowiedziane przez kogo innego. Jeśli się tych zasadniczych różnic między reżyserem-opowiadaczem a „tylko reżyserem” nie bierze pod uwagę, wynikać będzie nieporozumienia i przykrości.

Pisarz przychodzi do spółki z filmowcem z mocnym postanowieniem uzurpowania sobie absolutnie wszystkich praw autorskich. I jeśli filmowiec, sam z natury opowiadacz, próbuje ingerować w scenariusz, w sprawy dramaturgii, fabuły, rysunku postaci — wtedy pisarz woła: „To nie pańska rzecz! Od tego jestem ja, pisarz! Proszę nie wkroczyć na tereny zastrzeżone dla pisarzy” itd... Tymczasem, jeśli słowo „pisarz” zastąpić tutaj słowem „opowiadacz”, to wtedy, rzecz jasna, o żadnej agresji, o żadnej uzurpacji nie swoich praw mowy nie ma! Wtedy mamy po prostu dwóch opowiadaczy, którzy muszą się ze sobą dogadać i albo dogadają się albo nie.

Gdyby się przyjęło ten realistyczny punkt widzenia — uniknęłyby się wielu sporów o kompetencje, wielu prestiżowych zadrążeń, a także kompleksów, i to nie tylko literackich u filmowców, ale i filmowych u literata.

Tak to dla mnie wygląda ów problem, przynajmniej w praktyce nielatyw do rozwiązania. A co tutaj szczególnie sprawę komplikuje?

Co w tym wszystkim jest trudnego: jak sprawdzić, czy filmowy opowiadacz nie jest filmowym grafomanem? Zdarzają się grafomani wśród literatów, mogą się zdarzyć i wśród filmowców. Ale przekonać się, czy filmowy opowiadacz jest filmowym grafomanem — można, niestety... tylko na ekranie, nie w scenariuszu i nawet nie w scenopisie! Bo te są ostateczne, mimo wszelkich zaszczepionych nazw, jakie im dajemy (literacki,

twórczy, emocjonalny itp.) — tylko półfabrykatem, tylko szkicem, za którym stoi wizja niemożliwa do pełnego opisanie, nawet w grubym tomie! Tylko film może wykonać narracyjne grafomanstwo filmowca. A o ileż trudniej nakręcić film i wyważyć sobie tym filmem tasą czy inną rangę w beletrystyce filmowej, niż literatowi, który zdobywa ostrogi pisarza czasem jednym opowiadaniem czy jedną książką? Którą nie trudno wydrukować, nawet jeśli nie jest najlepsza. I która i w maszynopisie i na stronach zadrutowanych jest tym samym, ma ten sam kształt ostateczny, jaki nadaje myślom pisarskie słowo.

Życie zatem wiele ułatwia w sensie startu opowiadaczowi literackiemu i bardzo wiele utrudnia opowiadaczowi filmowemu. Dlatego należałoby może trochę ostrożniej ferować wyroki w rodzaju: „reżyser daje upust swym literackim kompleksom”, „dopisuje tasemcowe dialogi”, „nie ufilmawia, ale bawi się w literata” itp. Tu nie o zabawę chodzi, ale po prostu o to, że na etapie pisania scenariusza czy scenopisu i filmowca nie ma innego narzędzia pod ręką, jak słowo. Wolałoby może rysunki, znaki, próby robione z kamerą, niestety, nie może z nich korzystać, bo scenariusz „musi być napisany”, bo to ma ktoś przeczytać i ocenić. I rzeczywiście — reżyser może słowem posługiwać się znacznie gorzej od literata, który z przyrodzenia i rutyny macha piórem i łatwiej i ładniej.

Tak, proszę państwa, nielatyw jest sytuacja filmowych opowiadaczy, jeśli nie zdobyli sobie pozycji „na rynku”. Do własnych pomysłów filmowców beletrysty, póki są tylko „napisane” — władze filmowe zawsze będą odnosić się z nieufnością, raz dlatego, że wciąż pokutuje fałszywe przekonanie, że scenariusz „MUSI BYĆ” napisany ładnie, po literacku, dwa — dlatego, że przyznano pisarzom monopol narracji nawet poza literaturą, nawet na terenie innych sztuk.

Sytuacja filmowego opowiadacza jest trudna, a bywa wręcz dramatyczna, jeśli okoliczności zmuszą go do mariażu z literatem narzuconym mu — czy to przez Biuro Scenariuszowe, czy to przez Wytwórnię, która nie nadaje z planem. Dlatego sytuacja jest wtedy dramatyczna? Bo w tym mariażu druga strona przychodzi zazwyczaj z gotowym dzieckiem, a bachor bywa nieraz mocno nieudany. Bo i pisarz czasem nie ma namacalnych danych, by z punktu zaufa filmowcowi jako beletrysty, albo nie chce mu zaufa, ponieważ sam stoi na farszowej pozycji, że tylko on, pisarz, ma prawo ludziom opowiadać!

Co w takim razie pozostaje filmowemu opowiadaczowi? Pozostaje rezygnacja, poskromienie własnych zapędów narracyjnych i realizacja opowiadań cudzych. I nie jest to taka męka, była tylko rzecz przyniesiona przez pisarza była dobra. I wtedy żądanie felietonisty: „reżyser musi umieć czytać intencje autora, jego półtony, nawet zamaskowane” — jest całkiem słuszną. Ale tylko wtedy!

A jakież jest sposob na to, żeby literat przynosił rzeczy dobre? Prosta i dobra recepta daje Sergiusz Gerasimow:

„Trzeba przyjąć jako zasadę, że pisarz robi film, a nie scenariusz. Uzdro-

(dokończenie na str. 7)

MARIAN PIECHAL

## Barwne piórka



**CZYŻBY** Jana Sztudyngera dla tego pominięto w ostatnio wydanej antologii „Poezja Polskiej Ludowej”, że jest tak dobrym fraszkopisem? Może jednym z najlepszych w Polsce?

A przecież Jan Sztudynger to tegi poeta liryczny, który jeszcze przed wojną wydał cztery tomy wierszy („Mój dom” 1925, „Ballady poznawskie” 1930, „Ludzie” 1931 i „Kantyczki śnieżne” 1935), zaś po wojnie jeden z pierwszych wydał tom utworów o ziemiach odzyskanych pt. „Strofy wrocławskie”. Wspominam o tym nie bez powodu. Wydaje mi się bowiem, że Sztudynger dlatego właśnie jest tak dobrym fraszkopisem, że przede wszystkim jest dobrym lirycznym. Kto chce się przekonać o tym, niech zajrzy do wydanego ostatnio przez „Czytelnika” zbioru jego fraszek pt. „Piórka” (\*). Jego poczucie dowcipu nie byłoby tak trafne, gdyby nie wynikało z właściwego odczucia słowa i jego odcieni, tak przecież charakterystycznych dla liryki. Jego sprawność w umiejętności stosowania właściwego słowa we właściwym znaczeniu i właściwej okoliczności nie byłaby tak biegła, gdyby nie wynikała z subtelnej wrażliwości, odczuwania, wyczuwania i przezwycięzania poety lirycznego.

Czytelnik czuje ten podskórny liryzm w każdej prawie fraszce Sztudyngera. Sądzę, że to on, ten właśnie liryzm, decyduje głównie o ich wielkiej poetyckości, do której przyczynia się nie mało ich zawartość intelektualna, dodając im szerszego uroku, nie dopuszczając nigdy do czczej gry słów czy kalambury sztuczki bez pokrycia. Ileż liryzmu zawiera się na przykład takie dwuwierszowe fraszki:

Róż nie nauczyłeś piosenki,  
Słowiku, wieszczą maleńki.

Albo:

Na piecykach pieczone kasztany  
I smak dzieciństwa w nich zaczarowany.

A niektóre z nich przypominają najpiękniejsze gminy liryczne z „Pocałunków” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Co dzień chciał spotkać Muze,  
Pół roku bez mała.  
A Muza w jego sercu  
Spokojnie mieszkała.

Albo:

Dobra to rzecz milczenie.  
Wsluchany w bełkot rzeki  
Patrz! — Grają światła i cienie,  
A szepcą wieki.

(\*) Jan Sztudynger, „Piórka”. Czytelnik 1955.

MARIAN PIECHAL

BOLESŁAW NAWROCKI

## BEZ TAJEMNIC

(Rozważania pokonkursowe)

**P**OD koniec marca, po przesto 4-tygodniowych rozgrywkach, zakończyła się jedna z największych imprez muzycznych świata — V Międzynarodowy Konkurs Chopinowski.

Był to niewątpliwie trudny egzamin nie tylko umiędzynarodowienia pianistycznych postępczych kandydatów oraz ich wytrzymałości fizycznej i psychicznej, ale również umiejętności organizowania tego rodzaju wielkich turniejów artystycznych.

Znaczenie konkursu jest olbrzymie. Wzbogacił bowiem nasze doświadczenia, umożliwił nam zorientowanie się w prądach światowej pianistyki, w głównych współczesnych kierunkach pedagogicznych, ponadto nasunął szereg konkretnych wniosków dotyczących organizacji przyszłych konkursów i metod pracy sądków konkursowych.

Niniejszym artykule chciałbym się zająć zwłaszcza tymi ostatnimi zagadnieniami, z uwagi na korzyści, jakie mogą wynikać z ich omówienia w związku ze zbliżającym się nowym międzynarodowym konkursem muzycznym, organizowanym w Warszawie z okazji V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Pragnę więc poruszyć niektóre kwestie sporne związane z organizacją prac jury, wykorzystując m. in. obserwacje poczynione w czasie dotychczasowych konkursów organizowanych w Polsce Ludowej. Zależy mi głównie na zorientowaniu czytelników w zagadnieniach i trudnościach, jakie napotykają organizatorzy konkursu oraz członkowie jury w trakcie swej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy.

Najważniejszą chyba kwestią jest zapewnienie możliwie największej obiektywności oceny produkcji konkursowych. Międzynarodowy skład jury jest w dużej mierze tym właśnie czynnikiem, który gwarantuje możliwie największą obiektywność oceny. Im więcej przedstawicieli różnych krajów bierze udział w jego pracach, a im mniej jurorów tej samej narodowości, tym bardziej wykluczona jest — przynajmniej teoretycznie — możliwość tak zwanej narodowej stronniczości i jej wpływu na wyniki konkursu. Dlatego też wydaje się, że przy ustalaniu składu jury najbliższych konkursów należało by raczej ograniczać liczbę jurorów pochodzących

z kraju-gospodarza, to znaczy kraju, na którego terenie konkurs się odbywa. Nie powinna ona przekraczać o więcej niż 50% najliczniejszej grupy jurorów innej narodowości.

W związku z powyższym pozostaje sprawa punktowania przez jurorów — kandydatów tej samej, co oni, narodowości. Z tych też względów rozważa się obecnie zagadnienie, czy nie byłoby celowe wprowadzenie w przyszłości zasady, że jurorzy nie mogą oceniać produkcji kandydatów tej samej narodowości. Podobny zakaz winien być rozciągnięty na tych pedagogów, których uczniowie, dani lub obecni, biorą udział w konkursie. Dotychczasowa praktyka konkursowa w Polsce rozwiązała to zagadnienie w ten sposób, że głosy członków jury, mających wśród kandydatów swoich uczniów, uniemożliwiano w czasie obliczania wyników. Za profesora danego kandydata uważano przy tym ostatniego pedagoga, z którym kandydat pracował przed samym konkursem co najmniej 1 rok. Rozszerzenie zakazu oceny na tych pedagogów, którzy kiedykolwiek i przez jakikolwiek okres czasu pracowali z danym kandydatem, wydaje mi się słusznym. Nie chodzi bowiem tylko o to, że juror-pedagog może faworyzować swoich dawnych uczniów, lecz również o przypadek wręcz odrotny, gdy kandydat zmienił z tych czy innych powodów pedagoga i nie może być potem pewny jego obiektywnej oceny...

Można przytoczyć również inny przypadek, kiedy dany kandydat współpracował ze swym profesorem-członkiem jury przed samym konkursem przez okres krótszy niż 12 miesięcy, i dzięki temu może korzystać z tzw. „dobrodrożstwa prawa głosu” swego pedagoga.

Międzynarodowy skład jury, nie wyróżniający się większymi ugrupowaniami jurorów tej samej narodowości, kryje w sobie jednak pewne niebezpieczeństwo. Jest nim niewątpliwie brak wspólnych kryteriów oceny. Nie zapominajmy, że w skład jury wchodzi artyści-muzycy przybyli z najrozmaitszych stron świata, ludzie, których poglądy na sztukę odzwierciedla i interpretację różnią się

między sobą niekiedy wprost diametralnie. Nie mają oni przeważnie okazji wymiany zdań w tych dziedzinach i ugodnienia kryteriów oceny przed rozpoczęciem konkursu. Wynikiem tego są rozbieżności w punktacji, które niekiedy w dużej mierze zniekształcają rzeczywisty obraz przebiegu konkursu (przeciętne punktacji). Brak ugodzonych kryteriów oceny uniemożliwia się zwłaszcza w toku oceny pierwszych produkcji konkursu (czy też danego tylko etapu), kiedy to rozbieżności są szczególnie jaskrawe.

Procedura głosowania była w czasie ostatnich konkursów muzycznych różna. Istniały trzy zasadnicze sposoby składania ocen: 1. po zakończeniu produkcji danego kandydata, 2. po każdym dniu produkcji, 3. po zakończeniu całego etapu. Podczas konkursu skrzypcowego im. Wieniawskiego w 1952 r. przyjęto na I etapie pierwszy sposób, w finale zaś drugi. W toku ostatniego Konkursu Chopinowskiego wystawiano oceny natychmiast po przesłuchaniu każdego z uczestników, na specjalnych blankietach, opatrzonych podpisem głosującego, które w zaplombowanej kopercie wręczano były do specjalnej urny. Wystawiano jedną tylko ogólną ocenę produkcji w punktach od 1 do 25, przy czym w konkursach chopinowskich oddzielnie punktowano wykonanie mazurków.

Ponieważ dużo kłopotów sprawia zazwyczaj jurorom ocena zwłaszcza pierwszych produkcji, kiedy ogólny poziom kandydatów jest jeszcze niestwierdzony i kiedy nie ma jeszcze skali porównawczej, wprowadzono na ostatnim konkursie pewne udogodnienia proceduralne: możliwość zgłoszenia po zakończeniu etapu na ręce sekretarza jury poprawek do wystawionych już ocen — o maksimum dwa punkty w plus lub w minus. Na specjalnych arkuszach zbiorczych wpisywane były jedynie noty poprawione (z zaznaczeniem, że nastąpiła poprawka), a to dla zapewnienia poszczególnym jurorom całkowitej swobody i niekierowania w granicach dwóch punktów — ich decyzji zmodyfikowania osądu. Poprawki te — jak się przekonaliśmy z analizy tabel punktacyjnych — nie spowodowały jednak żadnych istotnych zmian w ostatecznym ukształtowaniu się czołówek.

Powyższy sposób wystawiania ocen jest bez wątpienia dalszym krokiem naprzód, jeżeli chodzi o zapewnienie maksymalnej obiektywności orzeczeń jury. Wydaje się jednak, że rezultaty byłyby lepsze, gdyby można było w przyszłości stanąć na gruncie całkowitej jawności punktowania (wyjaśniam, że należy odróżnić jawność produkcji kon-

Pomijam już takie dłuższe utwory wśród fraszkowych „piórek” Sztudyngera, jak „Studium nad Szekspirem”, „Róża prawdziwa i sztuczna” lub „Za każdy tryl”, które są wysokiej próby czystą liryką.

A do jakiej kategorii zaliczyć na przykład takie „fraszki”, jak następująca:

Jest obok daru blasku  
Laska cienia,  
I obok daru uczuć  
Dar zapomnienia.

Bogactwo odcieni fraszek Sztudyngera jest tak znaczne, że nie poddaję się one żadnym podziałom, żadnym charakterystycznym je typizacjom. Sam autor podzielił je ze względu na chronologię ich powstawania i z grubsza ze względu na ich tematykę na dziewięć części, ale o istocie utworów ten podział nie mówi. Ogólnie można powiedzieć, że dział np. fraszek krakowskich jest pełniejszy treściowo i liczniejszy tematycznie od działu fraszek łódzkich, ale to tylko dlatego, że krakowskich fraszek jest więcej. Wyłączając ze zbioru dwa działy fraszek przedwojennych (jeden z nich, „Rzeź na Parnasie”, to tytuł przedwojennego zbioru fraszek Sztudyngera z 1935 r.), z pozostałych należy wyróżnić jako najbardziej ogólne i „filozoficzne” — pomieszczone w dziale „Goethe i pseudo-Goethe” oraz „Słownik i róża”, natomiast „Fraszki teatralne” i „Różne” zaliczyć trzeba do najbardziej aktualnych. Zwalazca te ostatnie. Jeśli większość fraszek z działu „Różne” można by nazwać społeczno-politycznymi, to fraszki z działu „Szumowiny” należałoby nazwać społeczno-obyczajowymi, choć trzeba zaznaczyć, że żadna ogólna nazwa nie przystaje szczególnie do charakteru fraszek Sztudyngera. Najcenniejsze fraszki znajdują się właśnie w tym dziale. Niektóre z nich wywodzą się wprost z cyklu Kochanowskiego „Dobrym towarzyszem gwoli”, okupując jaskrawości treści doskonałością formy. Aluzyjność osiąga tutaj szczyty finezji. Sądzę, że pod tym względem dla dotychczasowej praktyki fraszkopisarskiej w ostatnim dziesięcioleciu tom Jana Sztudyngera jest zjawiskiem zwrotnym. Odwaga, z jaką przełamuje sztywne i ograniczające ten rodzaj piśarstwa konwencje, jest niewątpliwą jego zaletą. Zwalazca, że nie uczynił tego kosztem poziomu, lecz właśnie dzięki inwencji artystycznej poszerzył zakres swego fraszkopisarsstwa o tę unikana dotychczas tematykę. Tak, te „Piórka” są barwne i ostre. Mienią się, bawiąc oczy, a gdy trzeba, kłują dotkliwie nie tylko w oczy.

Oczywiście szukałem przysłówiowej dziury w całym, to znaczy choć jednej złej lub zdecydowanie słabej fraszki. Dalibóg, nie znalazłem!

Na specjalną uwagę zasługują w tych „Piórkach” piękne, choć niezbyt liczne, ilustracje Maji Berezowskiej.

## Opinie i fakty

O dom im. Adama Mickiewicza w Śmiełowie

(List z Poznania)

W całym kraju rozpoczynają się przygotowania do uroczystości Roku Mickiewiczowskiego. W Wielkopolsce towarzyszy im szczególnie wzrost zainteresowania szeregiem miejscowości, w których autor „Pana Tadeusza” przebywał w r. 1831 i 1832.

Najgłośniejszą z nich jest Śmiełów, położony w pobliżu miejscowości Żerków (pow. Jarocin), na skraju pasma malowniczych wzgórz noszących miano Szwajcarii Żerkowskiej. Stąd w sierpniu 1831 r. poeta usiłował przekroczyć rozciągłą z obu stron Prosnę kordon graniczny prusko-carcki. Tu po nieudanej próbie przeprawy mieszkał przez pewien czas pod przybranym nazwiskiem Adama Müllera dla zmylenia czujności władz pruskich.

Ze Śmiełowa również, podobnie jak z Górz, wychodziła się znajomość poety z Konstancją z Bojanowskich Łubieńską, głośną wielkopolską pięknością owych czasów. Znajomość ta, uciążliwa później dla Mickiewicza, przetrwała do ostatnich lat jego życia.

Wśród mieszkańców niewielkiej osady żywność dnia dzisiejszego tradycja przechowywała szereg wspomnień o pobycie poety w tym zakątku kraju — o wycieczkach łodzią po rzece Lutyni, przecinającej park przypałacowy, o debacie zadaszonym własnoręcznie przez poetę — drzewo zdrugotał zresztą później piorun.

Nad Lutynią wzniesiony został przed wojną pomnik Mickiewicza, wysadzony w powietrze w 1939 r. przez okupanta.

O roztoczenie właściwej opieki nad zaniedbanym, zapuszczonym pałacem w Śmiełowie rozpoczęły ostatnio usilne starania wielkopolskie środowiska twórcze: literaci, plastycy, architekci, kompozytorzy i dziennikarze. Starania te poparła WRN. Akcja zmierza do zabezpieczenia cennych dla narodowej kultury wartości oraz stworzenia tu z okazji Roku Mickiewiczowskiego domu pracy twórczej pracowników kultury imienia poety.



Wartości wspomniane nie ograniczają się jedynie do strony architektonicznej, choć i ona zasługuje na uwagę. Trójskrzydłowy, okazały pałac coud'homme, obramowany lukrowanymi gankami, jest undanym dziełem architekta polskiego doby klasycyzmu, Stanisława Zawadzkiego.

W chwili obecnej budynek użytkuje siedmioklasowa szkoła podstawowa, rozbudowana z przedwojennej jednoklasówki, GRN oraz miejscowe PGR. To ostatnie, poza mieszkaniami pracowników i kwaterami dla sezonowych robotników rolnych w

bocznych skrzydłach, zajęło kilka sal głównej części na świetlicę. Właśnie tutaj znajduje się najcenniejsze w tym miejscu malowidło, ścienne malowidło Franciszka Smuglewicza, cenionego malarza XVIII w. Widoczny jest zresztą jeden tylko wielki medalion w osmiokątnej sali. Przedstawia poezję Hektora z Andromachą. Malowidło nosi ślady znaczących, co gorsza, świeżych uszkodzeń, wydlubowania tynku, obtarcia, barbarzyńskiej ołówkowej ornamentacji poszczególnych figur. Smutne to świadectwo braku należytej opieki na zabawkach i wieczornicach świetlicowych.

Nieco inaczej sytuacja przedstawia się na piętrze w klasach szkolnych. Tu sceny biblijne i mitologiczne zostały na zlecenie komisji szkolnej w r. 1945 zakryte przed oczyma działaw grubym pokładem zwykłej farby. Miejskami ocalały tylko ornamenty z różnych epok, nie zawsze zresztą gustowne. Podobno na dole znajdują się pod farbą dalsze malowidła smuglewiczowskie.

Zabytkowy charakter noszą empirowe kominki w kilku pokojach oraz stylowa, zniszczona powierzchnia posadzki.

Nauczycielstwo Śmiełowskie otacza piętnastym skromnym pokojem Mickiewicza na pierwszym piętrze. Znajduje się tu biblioteka. Warto zaznaczyć, że w pokoju sąsiednim w r. 1895 zamieszkiwał Sienkiewicz.

\* \* \*

Z uwagi na wielkość, rozkład pomieszczeń, malownicze położenie i spokój, pałac w Śmiełowie nadaje się szczególnie na dom pracy twórczej różnych związków artystycznych, oczywiście po zapewnieniu pomieszczenia dotychczasowym użytkownikom. Powierzchnie remonty, odświeżenie i konserwacja zabytkowych malowideł i uporządkowanie pałacu nie wymagają zbyt wielkich kosztów. Dla staran wielkopolskich środowisk twórczych nie ma znaczenia posiadanie fakt, iż w zachodniej części kraju nie ma takich domów, jakie np. w Zakopanem posiada ZLP, ZAKS. W Niedzicy — Mm, Kultury i Sztuki itp. Ze spokojnego miejsca do pracy korzystać by mogli tutaj również twórcy innych środowisk, przede wszystkim zaś bliższych, Łodzi i Wrocławia (dojazd do Śmiełowa kolejką wąskotorową z Witaszyc na linii Poznań — Ostrów Wlkp., lub autobusem PKS Poznań — Żerków).

Sprawa Śmiełowska nabrała w Wielkopolsce niejakiego rozgłosu. Dyskutuje się o niej żywo w prasie, w związkach twórczych, w komisjach rad narodowych. Ostatnio postulatami śmiełowskimi zainteresowały się władze centralne. Otwarcie domu pracy twórczej im. Adama Mickiewicza w regionie kraju, w którym poeta przebywał, byłoby trwałym wkładem w uroczystości roku jubileuszowego. Staraniom tym życzyć należy zatem jak najszybszej realizacji.

LESZEK PROROK

## Sztuka Mac Colla w Zduńskiej Woli

Wiadomość o tym, że Państwowy Teatr w Gnieźnie przyjeżdża do Zduńskiej Woli ze spektaklem „Zatrzymać pociąg”, zainicjowała mnie i zaniepokoiła jednocześnie. Po doskonałej inscenizacji sztuki Mac Colla w Teatrze Powszechnym w Łodzi i po katastrofalnym jej upadku w Warszawie — wystawienie „Zatrzymać pociąg” przez teatr prowincjonalny, i to na scenie świetlicy strażackiej, uważałem za przedsięwzięcie zgoła ryzykowne.

Stwierdzam z przyjemnością, że Teatr Gnieźnieński dowiódł na jaskrawym przykładzie, iż „prowincja” jest właśnie najwiedzielszym odbiorcą dobrej sztuki i dobrej gry. Widziałem reakcję widzów, gdzie przy otwartej kurtynie chwilami dochodziło do owacji i słyszałem w przerwach rozmowy zebranych na sali widzów. Wszystko to wskazywało, jak bardzo prowincja spragniona jest dobrego widowiska.

Nie podając szczegółowej analizy koncepcji reżyserskiej czy też poziomu gry aktorskiej — mogę tylko stwierdzić, że spektakl był równy i zupełnie

czysty. Poszczególne sceny i sytuacje były nawet dla najbardziej prymitywnego widza jasne i czytelne. Jest to nie tylko zasługa reżysera Aliny Jakubowskiej, ale przede wszystkim rezultat mozolnej pracy całego zespołu. Znam załogę aktorską tego teatru, z wielkością pracowałem i muszę z radością stwierdzić, że w przeciągu krótkiego czasu zespół ten urosł i dojrzał.

W końcu kilka słów o samych aktorach i ich grze. Nie będę wymieniał tu wszystkich wykonawców, nie mogę jednak zbyć milczeniem czołowej trójki zespołu: przekonujące i mocne kwestie Katarzyny Lorenz (Irena Rembiszewska), sadystyczna, brutalna postać Eckerta (Jan Russek) oraz pełna tragicznej ekspresji Karin Nielsen (Mirosława Leśniewska) — nadawały ton całemu widowisku.

Scenograf Leon Grajewski doskonale rozwiązał technicznie dekoracyjną stronę spektaklu, przystosowując ją do potrzeb teatru objazdowego.

GUSTAW WERNER

## Eliminacje zespołów amatorskich

Do Eliminacji Amatorskich Zespołów Artystycznych zgłoszyli się na terenie Województwa 1443 zespoły — w skali krajowej jest to szóste miejsce w stosunku do innych województw. (Łódź-miasto jest z tej liczby wydzieleną). Uderza mała stosunkowo ilość zespołów robotniczych, których zgłosiło się zaledwie 160.

Obok takich Pabianic z 32 zespołami, duży ośrodek przemysłowy jakim jest Radomsko reprezentuje zaledwie 6 zespołów robotniczych.

Największe zainteresowanie wzbudziły eliminacje w pionie szkolnym — zgłosiły się 784 zespoły.

Pion wiejski, który wykazał o wiele lepsze przygotowanie aniżeli w roku ubiegłym, zgłosił 371 zespołów. I tu też dają się zauważyć duże różnice ilości zgłoszeń w poszczególnych powiatach.

Jeśli powiat sieradzki zgłosił 39 zespołów, radomszczańsk 33, to Rawa Mazowiecka zaledwie 8.

Czym tłumaczyć taką niewspółmierność? Po prostu słabym zainteresowaniem eliminacjami ze strony Rad Zakładowych Związków Branżowych, jeśli chodzi o miasta, i brakiem inicjatywy ze strony niektórych organizacji młodzieżowych na wsi.

Po raz pierwszy w tym roku wziął udział w eliminacjach powiat łęczycki.

Ciekawie przedstawiają się poszczególne dyscypliny artystyczne. Najwięcej — bo 457 jest zespołów tanecznych. Dalej idą chóralne — 338, teatralne — 306, recytatorskie 137, muzyczne — 123 i, pieśni i tańca 82.

Smutne jest tylko to, że organizujące tę wielką imprezę władze centralne przyznały Województwu naszemu zbyt małą ilość miejsc na reprezentację w stolicy.

140 miejsc — to stanowczo za mało wynosi bowiem niespełna 10% — podczas gdy w odniesieniu do innych województw stosowano inny klucz. Tak zresztą bywało już nieraz. Choćby na zeszlorskim konkursie recytatorskim, w którym Łódź została potraktowana jako uboga krewka. (w.m).

## Szkoła im. J. Tuwima w Inowłodzu

Dnia 27 marca br. odbyła się w Inowłodzu uroczysta sesja Gromadzkiej Rady Narodowej, podczas której postanowiono nadać Szkole Podstawowej w Inowłodzu imię Juliana Tuwima. Poeta szczególnie kochał Inowłodz, gdzie spędził lata wczesnego dzieciństwa i gdzie napisał pierwsze swoje wiersze. Wiele fragmentów „Kwiatów polskich” opiewa właśnie Inowłodz i okolice.

W uroczystości wzięły udział żona i siostra poety, Stefania Tuwimowa i Irena Stawińska, oraz przedstawiciele Prezydium Wojewódzkiej i Powiatowej Rad Narodowych.

Na program uroczystości złożyły się: przemówienie Mariana Piechała o życiu i twórczości Juliana Tuwima, recytacje utworów poety przez Ludmiłę Gawęcką i Bohdanę Majde, artystkę Teatru Nowego w Łodzi, i część muzyczna w wykonaniu kwartetu Filharmonii Łódzkiej. Szczególnie wzruszająco wypadła ta część uroczystości, w której mieszkańcy Inowłodza dzieliли się osobistymi wspomnieniami o Julianie Tuwimie. Kierownik szkoły inowłodzkiej, Józef Dylo, odczytał następnie szereg listów poety z różnych lat do uczniów szkoły i do mieszkańców Inowłodza.

Tuwim był fundatorem i do ostatnich chwil swego życia troskliwym opiekunem obszernej biblioteki i laboratorium przyrodniczego szkoły inowłodzkiej. Piękną deklarację wierszy Tuwima dla dzieci w wykonaniu najmłodszych uczniów szkoły inowłodzkiej zakończyły te osobliwą i wzruszającą uroczystość.

## Notatnik kulturalny

### Muzeum Tuwimowskie w Łodzi

Młodzieżowy Dom Kultury im. J. Tuwima podjął inicjatywę utworzenia muzeum poety, syna robotniczej Łodzi. W chwili obecnej, przy wydatnej pomocy rodziny Tuwima, kierownictwo MDK gromadzi rękopisy, fotografie, listy, komplety dzieł. Ponadto trwają przygotowania do pracy nad bibliografią.

Dalsze plany przewidują odnalezienie i odrestaurowanie mieszkania przy ul. Andrzeja i przeniesienie Muzeum tam właśnie, gdzie Tuwim przez długie lata mieszkał i pracował.

Po muzeum J. Kasprzowicza na Harendzie i E. Zagadłowicza w Gorzeniu Górnym — muzeum J. Tuwima w Łodzi będzie trzecim tego rodzaju placówką poświęconą całkowicie życiu i twórczości pisarza polskiego.

Miejmy nadzieję, że ci sympatycy i wielbiciel poezji Tuwima, którzy w swych prywatnych zbiorach posiadają pamiętki i materiały dotyczące poety, udostępnią je Muzeum Tuwimowskiemu. (w.m)



Z eliminacji zespołów amatorskich. Liceum kulturalno-oświatowe w Łodzi

### Walne zebranie Oddz. Łódzkiego Z.L.P.

Dnia 24 kwietnia odbyło się walne zebranie członków łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich. Przedstawiciele zastępującego Zarządu kol. kol. St. Czernik (prezes) i E. Szuster (sekretarz) omówili ubiegłą kadencję zarówno od strony działalności władz związkowych, jak i prac i osiągnięć środowiska. Po tych przemówieniach wystąpiła się ożywiona dyskusja, w której zanalizowano sytuację obecną i wykreślono wytyczne działania przyszłego zarządu.

Wybory do władz związkowych dały następujące wyniki: Stanisław Czernik (prezes), Leon Gomoliński i Władysław Rymkiewicz (wiceprezes), Horacy Salfin (sekretarz), Anna Pogonowska (skarbnik), Antoni Kasprzowicz, Hanna Ożogowska, Juliusz Saloni, Edward Szuster (członkowie Zarządu).

### Świetlice dzielnicowe

Na terenie poszczególnych części naszego miasta powstały po dwie świetlice dzielnicowe (w sumie 14 świetlic) przeznaczone dla mieszkańców danych dzielnic. Jest to niewątpliwie nowa forma pracy świetlicowej, mająca na celu upowszechnienie kultury wśród tych mieszkańców, dla których świetlice przykładowe są niedostępne. W świetlicach dwa razy w tygodniu wyświetlane są filmy, a w niedzielę przed południem urządzone są poranki dla młodzieży.

## Narada Teatrów Wiejskich

18 i 19 marca odbyła się w Łodzi I Krajowa Narada teatrów wiejskich i objazdowych. Obecni byli przedstawiciele Komitetu Centralnego PZPR, Komitetu Wojewódzkiego, CZTOF-u, prasy, radio, łódzkiego Oddziału SPATIF-u, Związku Literatów a także teatrów z Kielc, Szczecina, Grudziądza, Tarnowa i Teatru Ziemi Mazowieckiej.

Dwudniowe obrady zagościł referat przygotowany przez Dyrekcję Teatru Ziemi Łódzkiej — gospodarza zjazdu. Uczestnicy narady byli obecni na spektaklu „Oienku” Gogola w Łyszkowicach pod Łowiczem. Zespół TŻL odegrał również w swojej łódzkiej siedzibie I akt „Sprawy rodzinnej”, która miała woi na wsi ponad 200 przedstawień. W ten sposób — i słusznie — podstawą do dyskusji stał się właściwie dorobek TŻL, pierwszego, od dwu lat działającego teatru dla wsi.

Z bogatych doświadczeń TŻL, z jego kontaktów z widzem wiejskim wynika niezbicie jedno: że istnienie i działanie takiego teatru staje się na wsi argumentem politycznym wielkiej wagi. Doceniając rolę teatru w socjalistycznej przebudowie wsi CZTOF przewiduje w najbliższej przyszłości wydany rozwój teatrów wiejskich, o czym zebranych poinformował dokładnie Dyr. St. Dobrowolski, istniejące już w Łodzi, Grudziądzu i Tarnowie bazy rozbudowane zostaną do kilku zespołów każda, aby móc obsługiwać trzy grupy województw: centralne (z wyjątkiem warszawskiego), północne i południowo-wschodnie.

Wobec tak szeroko zakrojonych planów, wchodzących już w stadium realizacji, potrzeba określenia koncepcji ideowo-artystycznej teatru dla wsi stała się sprawą palącą. Czy widzowi wiejskiemu należy dać „teatr wielki” z repertuarem romantycznym, z poetyckim słowem, z inscenizacją o dużym stopniu umowności? Czy — przeciwnie: teatr „łatwiejszy”, wyestyczny, z repertuarem kameralnym? Jak też łączyć postulat aktualnej agitacji politycznej w takim teatrze z jak najwyższym poziomem artystycznym — wobec dotkliwego braku pełnowartościowych współczesnych sztuk o tematyce wiejskiej? Oczywiście — na pierwszy tego rodzaju naradzie zagadnienie koncepcji i stylu teatru dla wsi zostało raczej tylko postawione, niżli rozwiązane. Ale wobec nieudanych dotąd prób dyskusji w prasie („Teatr”, „Przegląd Kult’”), łódzka narada w sprawie teatru dla wsi należy uważać za moment przełomowy dla tak ważnego, a dotychczas zaniedbywanego odcinka naszej kultury socjalistycznej. (ad)

### „Konkursy”

Teatr Ziemi Łódzkiej wystąpił z propozycją „Konkursów” Mariana Piechała, komedii o temacie wiejskim, wyreżyserowanej przez Konrada Łódzkiego. Pierwsza przedstawienie w tenisie odbyło się w gromadzie Rusiec, po czym Teatr wyruszył w objazd po województwie. Jak nam donosi, komedia Piechała zainteresowała się już inne teatry objazdowe.

### „Przepióreczka” w Kielcach

Na uroczystości dziesięciolecia swego istnienia kielecko-radomski Teatr im. Żeromskiego dał w Kielcach dn. 2 kwietnia promiennie sztuki „Uciełka mi przepióreczka...”. Trójkę czołowych bohaterów sztuki interpretowała młodzież aktorska: Przelęckiego grał Józef Zbierzch, Smugoniową — Barbara Walkówna, Smugonia — Bohdan Czechak. W pozostałych rolach wystąpili: A. Przysiecka, B. Orski, E. Karasiński, M. Łęczyński, A. Rokossowski, S. Kamiński, B. Borski, A. Balcerzak i R. Noskaluk. Trafne, bardzo współczesne odczytanie sztuki przez reżysera Irenę Byrską i twórczy wyśięk całego zespołu dały w sumie niezwykle interesujące przedstawienie, które bez przesady można uważać za jedno z ciekawszych wydarzeń teatralnych ostatniego okresu. (ad)

### Radogoszcz 1939-1945

Na Radogoszczu, gdzie w r. 1945 uciekający w popołudniu hitlerowcy spalili żywcem kilkuset więźniów, otwarte zostało 28 bm. muzeum obrazujące warunki życia więźniów w ciągu sześciu lat istnienia tego więzienia. Wystawa bogata w dokumentacyjny materiał fotograficzny, powiększona o ciekawsze zbiory wypożyczone z Oświęcimia i innych obozów koncentracyjnych, spełnia znakomicie swe zadanie propagandowe w obecnym okresie noszenia walki o pokojowe współistnienie narodów.

## WZNOWIENIE

A. S T I E P A N O W

Port Artur

Thum. z rosyjskiego A. Galis

Wydanie drugie, w 3-ch tomach oprawnych w płótno.

Całość 1096 stron.

Cena kompletu zł 60,—

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

## Pisarz czy reżyser?

(dokończenie ze str. 6)

wi to sytuację i stworzy właściwą podstawę do współpracy pisarza i reżysera”.

Ze „robić film” a „pisać scenariusz” to nie to samo — o tym możemy się przekonać choćby z notatek i listów, jakie pozostawił po sobie doskonały pisarz i scenarzysta radziecki, Ws. Wieszniowski.\*\*)

Gorąco i ze szczerego serca polecam tę lekturę tym wszystkim pisarzom, którzy wkraczając na teren filmu nie chcą poprzestać na „pisanu scenariuszy”, ale mają ambicję zostania prawdziwymi współautorami dzieła filmowego.

ANTONI BOHDZIEWICZ

\*\*) Iskustwo kino, nr 6/1954.



WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## BALLADA AMERYKAŃSKA

(Próba scenariusza gangsterskiego)

W roku bieżącym, pewnego wtorku  
To się zdarzyło w mieście New Yorku.  
Mieszkała Mary (słowo najświętsze)  
Na sędym piętrze.

Pokochał John ją, lecz jakoś coś ci  
Bez współplnienia, bez wzajemności.  
W końcu z szybkością wiał on zawrotną  
Do niej przez okno.

Sto pięter — fraszka dla tego ptaszka.  
Cóż to dla Johna? Istna igraszka!  
I na trotuar John bardzo zwinnie  
Zjechał po rynnę.

Zjechał po rynnę z Mary porwaną,  
Rozdygotaną i rozplakaną  
I tylko przy tym podarła trochę.  
Swoją pończochę.

Potem John piosenkę jakąś zanucił  
I skrepił dźwiękami z ręką.  
Auto z szybkością mknęło wariacką,  
Nie auto — cacko!

JAN SZTAUDYNGER

## NA ANTOLOGIĘ POEZJI 10-LECIA

Nie ma mnie w antologii  
stu dwudziestu trzech,  
jaki to dla niej,  
a nie dla mnie pech.

## NA LITERACKIE POŁAJANKI

W literaturze ruch  
około tajen dwóch.

JANUSZ SŁOWIKOWSKI

## NIE MA REGUŁY BEZ WYJĄTKU

I milicja też czasami  
Chodzi w nocy ulicami!

ANTONI SIKORSKI

## ECHA KONKURSU

Dziesięć palców, dwa pedaty —  
ot, i konkurs cały!

Styl mazurków — ćwicz w Pekinie:  
ręczę — stawa cię nie minie!

Miała abonament.

Wkrótce wyszła z sali.  
— Mógłbym zeń skorzystać?  
— Nie, bo mnie go dał!

## Pióreczka z ogona

ze nazwać bitwę pod Grunwaldem  
albo bitwę pod Stalingradem?

## BIJE SVOJE DZIECI

Kto? „Przekrój”!  
W numerze z 27. II. 55 r. „Przekrój”  
drwi z tekstu reklamy,  
wyświetlanej w kinach Jeleniej  
Góry:

„Szkoda gaduchny, mucha  
nie siada,  
Dobrze wygląda, kto dżemy  
jada”...  
A przecież jest to typ „humor-  
ku” i słownictwa („cwaniackie-  
go”) nieraz często spotykane  
właśnie na lamach „Przekroju”.

## CO OMINĘŁO ŁÓDŹ

W swoim czasie ominęły Łódź  
występy francuskiego T.N.P. i  
Gérarda Philipe...

Niedawno ominęły nasze miasto  
— wydany zresztą w skandalicz-  
nie niskim nakładzie — „Słownik  
wyrazów obcych”...

Ostatnio ominęła nas wystawa  
sztuki meksykańskiej...  
Kładziemy rękę na sercu i  
szczerze oświadczamy, iż ten typ  
kroniki kulturalnej najchętniej nam  
odpowiada. Wypełniamy jedynie  
przykry obowiązek!

## ŁATWE ŻYCIE

Z opowieści St. Dygata „Ży-  
ciostwo będzie za metą” (Nasza  
Księgarnia, 1954):

„Józef Lesiak, jak już powie-  
dzieliśmy, był chłopaikiem szyb-  
kim i nieopanowanym... W jego  
życiu wszystko odbywało się bar-  
dzo szybko, a czasem trochę, a  
czasem trochę i za łatwo. Ojca  
stracił wczesnie, rozstrzelali go  
w 1940 roku hitlerowcy”...

## OSTROŻNIE Z MAJAKOWSKIM

W przekładzie „Wersalu” Ma-  
jakowskiego, dokonany przez  
Stanisława Strumpha Wojtkiewi-  
czę i zamieszczony w „Prze-  
glądzie Kulturalnym” (Nr 15), tra-  
fiamy na taki dwuwiersz:

Jakbym do wiersza włąził  
Achmatowej

Lub do akwarel Pierre Benoit!

Przecieramy oczy. Pierre Benoit?  
Chyba głosił niegdyś i po dziś  
dzień żyjący powieściopisarz  
francuski... Jednakże, o ile nam  
wiadomo, autor „Atlantyd” nie  
parał się nigdy malarstwem, ani  
olejnym, ani wodnym. Zagłada-  
my do oryginału i stwierdzamy  
że Majakowski mówi po prostu:  
„Jak gdybym wsiąknął („włp”) w  
akwarelę Benoit” — mając oczy-  
wiście na myśli znanego niegdyś  
rosyjskiego malarza i scenografa  
Aleksandra Benoit. Rozumiemy,  
że tłumacz musi niekiedy dla ryt-  
mu „wstawiać” wiersz i dodawać  
„od siebie” słowa, których nie  
ma w oryginale. Ale tym razem  
„odsiebicie” (jak powiedział  
kiedyś Tuwim) jest potrójnie do-  
wolna: w miejsce rosyjskiego  
malarza tłumacz podstawia fran-  
cuskiego pisarza; czyni z tego pi-  
sarza — akwarelistę; wypacza  
wiersz, który nie straciłby  
na tym, gdyby tłumacz, zgodnie  
z wolą Majakowskiego, pominął  
imię Benoit i napisał po prostu:  
„Lub w akwarelę wsiąknął Be-  
noit”.

Tym razem Majakowski wsiąknął  
w przekład Strumpha Wojtkiewi-  
cza.

## Światopetk Karpiński

Poeta i satyryk. Ur. 27. III. 1909, w Pabianicach. Kończył Gimnazjum  
Zgrom. Kupców w Łodzi. Debiutuje w Łodzi tomem „Ludzie wśród ludzi”  
(Neumiller, 1932). W r. 1936 otrzymuje Nagrodę Młodych Polskiej Akademii  
Literatury za książkę „Trzynastka wierszy”. Wydał dwa tomy utworów sa-  
tyrycznych wierszem i prozą: „Kreda na parkanie”, „Ściana śmiechu”. Zmarł  
1. V. 1940 roku w Wilnie.

## Człowiek

— Nie chodź tam osobiście. Deszcz  
pada. Daleko. Wystarczy posłać czło-  
wieka.

Człowiek w mowie potocznej jest to  
indywiduum silne, oziębia, biedne,  
uczciwe i posłuszne.

„Człowiek” rabie drzewo, trzepie dy-  
wany, odnosi list za pokwitowaniem;  
jeśli ma przy tym zmyśl handlowy —  
to stoi na rogu dwu ulic i przez cały  
dzień sprzedaje jedną zabawkę. Pajaca  
na gumce, a czasem krąży po podwo-  
zach lub wspina się na kuchennej  
klatce schodowej, niosąc dwie słomian-  
ki lub cztery wieszaki.

— Dziwię się, że sam nosisz felietony  
do redakcji. Za parę groszy mógłbyś to  
robić jakiś człowiek.

Inni — to już nie są ludzie. Inżynie-  
rowie, doktorzy, adwokaci, oficerowie  
jakoś nie mogą być ludźmi. Są przy-  
jaciółmi, panami, kolegami. Bývają in-  
teligentni, uroczy, zarozumiali, ale nie  
obdarza się ich człowieczeństwem.

Człowiek natomiast to jest takie  
stworzenie pociągowe, które nie nosi  
ubrania, lecz „odzież”. Człowiek nie ja-  
da, lecz „żywi się”.

Ciekawe: Żyd nie jest człowiekiem.  
Żyd trzepiący dywany lub noszący  
krzesła zawsze jest Żydem.

Również wszyscy umundurowani nie  
są ludźmi. O nich mówi się: „przyszli  
listonosze” lub „spotkałem policjanta”.

Żona człowieka jest kobietą.

Żony doktorów, inżynierów, adwoka-  
tów, to są osóbkii, panusie, dziewczyn-  
ki, ale kobietą może być jedynie żona  
człowieka.

Człowiek żyje ze swoją kobietą w wa-  
runkach bardzo ciężkich.

Z trudem zarabiają na utrzymanie.  
Marzną, głodują i nie umieją pisać.

Żyją w innej epoce, choć ich spoty-  
kamy co chwile. Przecież wszystkie  
epoki i okresy ludzkości istnieją do-  
okoła nas, współcześnie.

Oni reprezentują jaskiniowców.

A jednak człowiek lubi wódkę.

Inni potrzebują win i cocktailów, a  
człowiekowi wystarczy trochę spiry-  
tusu.

Człowiek do dzisiaj nie rozumie, dla-  
czego samochód jeździ, skoro nie ma  
dyszla ani koni, i człowiek zastanawia  
się dość często, dlaczego nie ma cara  
i za papierowe ruble już nie można  
dostać wódki, choćby tamtej, przed-  
wojennej...

Z zasady nie zajmuje się polityką  
i nie zastanawia się nad zawiłymi ta-  
jemnicami świata.

Inni kradną miliony i siedzą za to  
w Biarritz lub zostają przyłapani i ska-  
zani na kilka lat więzienia. Kalkulują  
bowiem w prosty sposób: jeśli mam  
siedzieć w biurze po osiem godzin  
dziennie i zarobić w przeciągu dziesię-  
ciu lat 60.000 złotych, to już lepiej bę-  
dzie zdefraudować 100.000 i odsiedzieć  
cztery lata za jednym zamachem.

Człowiek nie zna tych kalkulacji.

Może dlatego nie kradnie.

Ma dwoje grubych rąk i głowę,  
którą pochyla, kiedy zarzuca sobie na  
grzbiet ciężkie walizki, lub gdy zdejm-  
ując czapkę wchodzi do urzędu po-  
średnictwa pracy.

W sobotę, kiedy staje przed stołem  
wyplaty, blade ręce kasjera rzucają mu  
ufnie kilka błyszczących metalowych  
krążków.

Nie trzeba się bać.

„Człowiek nie gryzie”.

## Trójkąt na wesoło

Jeden smutek z drugim smutkiem  
Spotkał się cichutko.  
I spotkania tego skutkiem  
Smutniej było smutkom.

Poszły smutki na przedmieście,  
Między krzywe płoty,  
Coraz smutniej było w mieście  
Od mrocznej tęsknoty.

Wtedy przyszedł trzeci smutek,  
Z wszystkich najsmutniejszy.  
Miało to przeciwny skutek,  
Wprost najprzeciwiejszy.

Bo trzy smutki smutną trójką  
Jęły tańczyć w koło.  
I tak powstał pierwszy trójkąt,  
Trójkąt na wesoło.

## Felieton K. Grusa



Opony pękają na bruku



Przyjaciółki pękają z zazdrości



Naczelnicy pękają z nadmiaru  
ważniactwa



W uszach pękają bębni



Pękają tamy uczuć

KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

## Dziwna „przygoda”

JEST — albo przynajmniej był jeszcze  
do niedawna — w Londynie, pewien  
wprawdzie nie pierwszorzędnie gło-  
ny, ale poważny uczyony filozof i  
pedagog: C. E. M. Joad (Diod) — „head”,  
czyli kierownik departamentu filozofii i  
psychologii w „Birbeck College” uniwer-  
sytetu londyńskiego. Nie było tak pręto.  
Wydal on w roku 1948 książkę pt. „Guide  
to modern thought” — „Wprowadzenie  
do myśli nowoczesnej” (Pan Books” Ltd.,  
London), w której to książce obok roz-  
działów o psychoanalizie, behavioryzmie,  
nauce Pawłowa itd. znajduje się też 50-  
stronicowy rozdział o „anomalnych zja-  
wiskach psychicznych”. Oto, co w tym roz-  
dziale czytamy na temat „quickness of li-  
me”, czyli dziwaczności czasu.

„Szczególnie dobrze udoku-  
mentowany (podkreślenie nasze)  
przykład dziwaczności czasu opisuje  
biografista książki pt. „Adventure” („Przy-  
goda”). I dalej w streszczeniu bardzo  
bliskim tekstu mamy opowieść taką:

Książka „Przygoda” — mówi Joad — za-  
wiera opis doznań dwóch pań, Angielek  
w średnim wieku, Miss Moberly i Miss  
Jourdain, które w początkach bieżącego  
wieku kolejno po sobie zajmowały stano-  
wisko kierowniczek „Principals of St.  
Hugh's College” w Oksfordzie. Bawiąc we  
Francji, w sierpniu 1901 r., panie te zwi-  
dzały między innymi Wersal. W parku, ko-

ło pałacyku Trianon, znalazły się one na-  
głe ni mniej ni więcej, tylko w drugiej  
połowie zeszłego, XVIII wieku, do-  
kąd zawędowały w biały dzień na przechad-  
ce, i gdzie na własne oczy widziały kró-  
lową Marię Antoninę, zgilotnowaną po-  
tem „Austriaczkę”, żonę Ludwika XVI. Tej  
to właśnie tak bardzo sensacyjnej „przy-  
godzie” poświęcona jest cała wyżej wska-  
zana książka.

Pierwsze wydanie książki tej nie zwróci-  
ło na siebie uwagi nawet w Anglii i do-  
piero w ćwierć wieku później, drugie wy-  
danie („Faber and Faber”, Londyn 1931),  
w którym ujawniono nazwiska oraz stano-  
wiska wielce szanowanych autorek, stało się  
sensacją.

Oto garść szczegółów.  
Jak Joad zapewnia, panie Moberly i  
Jourdain nigdy się przedtem nie intere-  
sowały ani historią Francji, ani okultyz-  
mem. W owym tak dla nich pamiętnym  
roku 1901 — który to rok byłby i dla ludz-  
kości całej rokiem przełomowym, gdyby ist-  
niała pewność, że epokowanie dwu An-  
gielek zawiera istotnie obiektywną praw-  
dę — panie te chodząc po parku wersal-  
skim, spotykały raz po raz osoby ubra-  
ne jak w czasach Wielkiej Rewolucji i  
przez te osoby były zaczepiane i zagady-  
wane. Niektóre z tych osób w strojach  
XVIII w. widziały tylko jedną z owych pań,  
inne były widoczne dla obu.

Panie Jourdain i Moberly widziały też  
drzewa, których od dawna wówczas w pa-  
rku wersalskim już nie było; przechodziły  
przez mostek nad parowem, gdzie w głębi

szumiała kaskada dawno już dziś nie ist-  
niejąca; widziały człowieka w kioskach o-  
gradowym, do dalekiej już wtedy prze-  
szłości należącym; zwrócił się był do nich  
jakiś lokaj w liberie, który wyszedł z pał-  
acyku Trianon z drzwi już wówczas od stu  
lat skasowanych itd.

Przez cały czas owej niesłychanej prze-  
chadzki po XVIII wieku, odbywanej w  
pierwszych latach XX, stare panie, Angielki,  
niczego się temu zgola nie dziwiły, jako  
że o tych wszystkich rzeczach historycznych  
nie nigdy przedtem nie były słyszały. Od-  
czuwały one podobno tylko jakąś szcze-  
gólną depresję.

I dopiero z czasem, po owej przechad-  
ce, gdy panie te o niej rozmawiały, ude-  
rzyła je dziwność („oddness”) tego, co  
wówczas były tam widziały. Zaczęły badać  
sprawę tych szczególnych przeżyć, om-  
wiać ją ze znajomymi, i wtedy dopiero  
ustalono fakty niestwierdzone owych drzew,  
mostku, parowu, kaskady i kiosków, które to  
panie widziały tak wyraźnie; ustalono, że  
owe drzwi do pałacyku, z których był wy-  
szedł lokaj, dawno były zamurwane. Znawcy  
stwierdzili wtedy, że widzione przez  
panie Jourdain i Moberly na po-  
czątku XX w. sceny w najdrobniejszych  
nawet szczegółach zgadzały się z topo-  
grafią takiego Wersalu, jakim on był w  
końcu wieku XVIII, i że kostiumy widzia-  
nych przez nie osób należały też do tej  
przebrzmiałej epoki.

Co więcej! Pani Moberly — ale tylko  
ona, nie jej towarzysząca — widziała wów-  
czas jakąś dostojną panią, siedzącą na  
tarasie, która była ubrana w jasną suknie  
letnią, zupełnie taką samą, jaką wśród  
swych туалет miała Maria Antonina! Szczę-  
śliwie ten ustalono w siedem lat po  
przechadce na zasadzie wydanych ógii  
pamiętników modystki zgilotnowanej królo-  
wej, niejakiemu panu Elotte, który uszył  
była dla swej władczyni w roku 1789 i opi-  
sała potem szczegółowo zupełnie taką sa-

mą bluzkę, jaką właśnie Miss Moberly wi-  
działa na owej siedzącej na tarasie da-  
mie.

Tego rodzaju ustalonych i zidentyfiko-  
wanych szczegółów znaleziono ex post  
wiele.

Pozostaje dodać, że pani Jourdain, gdy  
była drugi raz w Wersalu sama, już bez  
towarzyszek, widziała znowu w parku roz-  
miałe osoby z XVIII w. i rozmawia-  
ła z nimi; a za trzeciej bytności tam skonsta-  
towała i ustalała, iż cała ta reżyma  
przez nią oglądana znów scenaria — nie-  
bo, drzewa i budowle — drżały zlekka, jak  
ruchem kurtyny w teatrze.

I jeszcze coś... Bo kiedy sensacja, to  
sensacja... W roku 1914 trzy osoby jako-  
ś, które przedtem były mieszkalkami w  
Wersalu przez lat sześć i miały z okien  
widok na park z pałacykiem, odwiedziły  
specjalnie owe dwie angielskie starsze  
panie po to, by im opowiedzieć, że mie-  
wały zupełnie podobne przeżycia — mie-  
wały je tak często, że im to dokuczalo,  
i że się wolały stamtąd wyprowadzić,  
pragnąc „żyć w swoim własnym stuleciu,  
nie w innym”.

Tyle Joad i cytaty z książek bohater-  
ek tej dziwnej „przygody”. Joad kończy swą  
relację uwagą, że wprowadzie hipotezę  
istnienia przeszłości w każdej chwili tera-  
niejszości naszej najeżona jest bardzo wie-  
lu trudnościami natury metafizycznej, z  
których na razie wyjścia jeszcze nie wi-  
dymy, jednakże jego zdaniem hipoteza ta  
stanowi największą nadzieję rokującą pod-  
stawę („The most fruitful basis”) do ba-  
dań nad tymi „intrygującymi” przeżycia-  
mi w Wersalu dwóch starych pań.

Tudno doprawdy pojąć, w jaki sposób  
uczony, racjonalistyczny filozof Joad, mo-  
że coś podobnego pisać nawet w religij-  
nej i przesądnej Anglii. Przecenia on sta-  
nowczo, jak nam się wydaje, owe kilka  
procent niezbędnych w dziedzinie okultyz-  
mu faktów.

Pisać o doskonałym „udokumentowaniu”

całej tej historii i mówić z jej racji ba-  
dajmy mimochodem o wychodzie, jako że  
podstawy, z hipotezy wiecznej teraźnio-  
ści — grubą zdaje się być przesadą.

Oczywiście, że z punktu widzenia ein-  
steinowskiej teorii względności i zmian w  
obecnym fizycznych pojęciach czasu i  
przestrzeni, sprawa ta inaczej musiałaby  
wyglądać, ale w to już tutaj wchodzić nie  
możemy — nie mamy dostatecznej po temu  
kompetencji i nie mamy zresztą najmniej-  
szej chęci strzelać z ciężkiej armaty do  
wroblei niepewnie, ledwie mającychcych.  
Dwie stare panie i garść jakichś anoni-  
mowych świadków — to stanowczo za ma-  
ło, by zmieniać wszystkie nasze na czas  
zapamiętania. Poważne traktowanie spra-  
wy tej przez Joad'a świadczy według nas  
tylko o tym, że, jak powiada Balzac w  
„Kuzynie Ponsie”, istnienie „sa instynktu  
nie do wykorzenienia”. A spośród nich ten  
instynkt, który świat zwie zabobonem,  
ktwi również dobrze we krwi ludu jak i w  
umyśle ludzki wyższych”.

REDAGUJE ZESPÓŁ  
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW  
POLSKICH  
Oddział w Łodzi

NAKŁADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:  
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79

Rękopisów nie zamówionych  
nie zwraca się

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,  
Zwirki 17. Zam. 1353. Nakł. 6150. Pap.  
druk. sat. 70 g, V kl. IV. 55. D-6-6206